MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 11 WARSZAWA, 13 MARCA 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

MORALNE PODSTAWY TWÓRCZOŚCI

NARESZCIE wyszła na jaw kwestja moralności w życiu publicznem. Przyszedł czas stabilizowania walorów zarówno w świecie pieniądza, jak i w życiu społeczno-politycznem. Zdawało się, że takie dobro, jak państwo, będące podstawą cywilizacji, jej ochroną i dźwignią, można zbudować z byle liczmanów, produkowanych, jak dawniejsza marka, na maszynach rotacyjnych partyj i partyjek. Inflacja haseł zabiła politykę demokratyczną i grozi ruiną kapitałowi moralnemu Polski. Zatrzymać maszyny, zlikwidować parlamentaryzm choćby na jakiś czas — oto pragnienie, które się rodzi w społeczeństwie i znajduje wyraz częściowy w uchwałach stronnictw, pragnących przynajmniej ograniczyć ilość czynników swawoli i zakres ich działania.

Życie musi wreszcie stawić opór tym, którzy dowolnie chcą je rozumieć, tym, którzy zatraciwszy instynkty a niczego się nie nauczywszy, wyobrażają sobie, że ono tak jest cierpliwe, jak papier, na którym można w kółko zalecać równość i wolność. Do życia ci sami doktrynerzy przychodzą z teorją względności, kwestjonującą istnienie prawd objektywnych. Wszystko bowiem według nich jest dla człowieka, jako celu wszystkiego: żadnych przymusów i norm dogmatycznych; samo Państwo jest tylko środkiem w rękach jednostki i jej areną. Teorje te dają rozgrzeszenie wszystkim karjerowiczom, a nawet złodziejom dobra publicznego. Dosyć odwrócić tak prawdę życia, że ono jest dla jednostki, aby zaczęła życie traktować jak koryto. W tej atmosferze rodzą się niewiarogodne uroszczenia, nawet w organizacji wojskowej, że jednostka traktuje Państwo niby swój podnóżek, który można nogą odtrącić lub przysunąć. Gdzieżby w normalnych warunkach nie budził zgrozy lub śmiechu ten przerost osobistych uroszczeń, mający pozory mistycznego już pojmowania praw jednostki?

I oto ten drugi, przerażający zamęt co do praw, nie kompensowanych obowiązkiem. Pochodzi on stąd, że człowiek dzisiejszy, otumaniony demagogją, zatraca twórczą wyobraźnię życia samego, które znajduje najpełniejszy swój wyraz w cywilizacji macierzystej, dającej człowiekowi życie. Za wiele myśli o braterstwie, za mało o swojem synowstwie. Poczucie tego synowstwa daleko żywsze ma człowiek prosty, niż dzisiejszy inteligentny liberał. Rodzi się pytanie: na co potrzeba oświecenia tym, którzy się imają życia jako kierownicy? Zdawałoby się, że przedewszystkiem na to, aby ich stać było na wyobraźnię, co to jest owo życie. A jest to przedmiot poznania bardzo złożony, tak złożony, że człowiek nie nauczy się go z książki. Długa, odwieczna nauka doświadczeń, dziedzicznie przekazywanych w instynktach, daje tej wiedzy podstawę. Bez intuicji, która jest niczem innem jeno instynktem, bez normalnego wychowania w duchu nabytego przez przodków doświadczenia nikt nic sensownego z życiem nie pocznie, nawet przy pomocy broszury w ręku. Ten może się kusić o twórcze życie, kto ma w porządku instynkt rodowity, a jego praca będzie tem płodniejsza i dobroczynniejsza dla gromady, im lepiej wykształci w sobie wiedzę o tem, co ma pomnażać i potęgować.

Nigdy, mówiąc o wiedzy życia, nie trzeba zapominać, że główny jej skarb mieści się w dziedzictwie instynktów i tradycyj. Niema przeto przeskoku, gdy chodzi o stosunek do gromady, między człowiekiem prostym a uczonym. Nieraz wiecej wart pierwszy, wychowany w karnej dla gromady cnocie, niż uczony bez instynktu, albo gorzej—uczony cynik. Obu ich obowiązuje jednaka moralność; ona jest zasadniczą wiedzą o życiu. Jeżeli tedy porównywamy wartość obu, to zawsze stawiając ich na równym poziomie cnoty obywatelskiej. Człowiek

oświecony tem więcej przedstawia wartości, im więcej pogłębił wiedzą swoją moralność.

Moralność ludzi oświeconych rośnie przedewszystkiem w wymiarze poczucia odpowiedzialności. Im wyżej w hierarchji duchowej, tem mniej się mówi o prawie osobistem, zasłudze, ofierze — wszystko ogarnia najwyższa ambicja odpowiedzialności. Za co najpierw człowiek oświecony wogóle, nietylko ten, co bierze się roboty publicznej, jest odpowiedzialny? Za swój własny — powiedzmy krótko — ciężar, a potem za to, co sam dźwignąć potrafi. Nie wolno mu być przedewszystkiem ciężarem swojej cywilizacji. Im wyższe przez oświecenie zajmuje miejsce w życiu, tem aktywniejszy być musi, bo im wyżej w hierarchji, tem subtelniejsza jest budowa i więcej wymaga dźwigającej ją siły ducha. Bezwład sam już tutaj jest klęską. Na balast jest miejsce w nizinie; balastu na żaglach nie kładą. Tutaj duch musi być czynny i ambitny, a przedewszystkiem mieć tę świadomość moralną, że każdy ruch nieodpowiedzialny zrządza życiu narodowemu nieobliczalne szkody. Bandyta w polu jest, jako krzywda i wina, drobnostką w porównaniu z nieodpowiedzialnym moralnie i umysłowo inteligentem na stanowisku.

Na tle tych uwag postawmy znak zapytania: gdzie w życiu jest miejsce na wolność i równość, na dowolność, na to straszne, liberalne, na wschodzie utarte „wsio rawno"? W naturze cywilizacji leży przymus i hierarchja. Niczego zaś nie należy tak wystrzegać się w myśleniu o życiu, jak uproszczeń, a właśnie w tym względzie szkoła „mechaników" życia jest bohatersko odważna. I to jest klęską naszej epoki. Dla tej szkoły kwestja przymusu i hierarchji przewstawia się prosto: hierarchja rodzi przymus. A dla nas, ze stanowiska narodowei twórczości, dzieje się odwrotnie: przymus rodzi hierarchję. Im większe kto weźmie na siebie obowiązki, tem wyżej stoi hierarchicznie. Jeśli mamy na myśli szczeble społeczne, czy polityczne, to przecież dość się przyjrzeć faktom: im wyższy szczebel, tem większe obarczenie odpowiedzialnością, tem większy przymus osobisty. Prezydent Rzplitej, albo monarcha są mniej wolni od podrzędnego obywatela.

Ubolewać należy, że prawdy tak proste w wieku XX trzeba przypominać, jako zapomniane. Gdzież się podziała praca duchowa Mickiewicza, który nam krzyżował swego ducha pod słońce wielkich idej metafizycznych, abyśmy poznali zasadę budowy moralnej człowieka, jako twórcy cywilizacji? Być może, gdyby nie namiętności, którym złe teorje dogadzają, nie byłoby tych nieporozumień, wiedza o życiu organicznem ciał narodowych nie byłaby w takiej pogardzie, nie gardzącej obskurantyzmem.

Życie w gromadzie na stopie cywilizowanej nie jest bynajmniej sumą pojedynczych żywotów zwierzęcych, konkurujących o dostęp do koryta, jest to życie porządku moralnego, poddane celom wyższym, niż jednostka. A w świecie moralnym, powinniśmy o tem wiedzieć z religji, każdy popęd osobisty, tak kultywowany przez liberałów, przełamuje się na opak; przymus jest prawem natury osobowości szerszych, opartych na jednostce. Prawo jednostki tu się wykłada jako obowiązek, pycha — pokora, wolność — odpowiedzialność i t. d. W świecie moralnym tyle ma człowiek wolności, ile zada sobie przymusu.

Swoją niepodległość, swoją wolność naród ze swoją cywilizacją zawdzięcza obywatelom, których stać moralnie na samoograniczenie, na zadanie sobie przymusu. Popędy osobiste tracą w łonie społecznem na bezwzględności, ale ta względność w traktowaniu siebie subjektywnem jest cnotą, podczas gdy względność w szacowaniu objektywnej prawdy społecznej jest występna. W życiu moralnem, normowanem objektywnie, punktem wyjścia muszą być dogmaty. Budowa psychiczna życia jest typu woluntarystycznego; jej zasadą jest wola życia, nie pogląd filozoficzny. Rozwój życia posuwa się od dogmatu do dogmatu. To są okopy, któremi człowiek umacnia pozycje, zdobyte w drodze do ideału. Wartością cywilizacyjną ideału jest ta doza bezwzględności, którą się uda zaszczepić w o l i twórczej.

Życia nie da się opanować od zewnątrz; droga do niego wiedzie przez pracę wewnętrzną, przez człowieka. Jego przeto nie można przeciwstawiać całości jako pretendenta do praw, ale trzeba go wcielić w budowę, aby jej własne oddał wnętrze. Zewnętrzny stosunek jednostki do życia, jakkolwiekby go jakiś pogląd partyjny określał, nie może być niczem innem jeno stosunkiem rewolucyjnym. A ta rewolucja zaczyna się nie tam, gdzie jawny do gmachu cywilizacji szturm się dokonywa, ale już wtedy, gdy się pod nim podstawy moralne podkopuje. Obóz ludzi oświeconych, zapoznający naturę życia cywilizacji i opanowujący je zzewnątrz po drabinkach karjer, uważa to za swoje dobre prawo, bo tak zadanie swoje pojmuje. Uważa on drogę pracy wewnętrznej, oddającej jednostkę w służbę osobowości narodowej, za zbyt staroświecką. Woli zrzeszać się w związki międzynarodowe, aby czynić na własnym narodzie eksperymenty w interesie Wolności powszechnej. Usuńmy na bok sprawę dobrej wiary i woli tych ludzi bez instynktu, wystarczy stwierdzić ich obskurantyzm, aby im odmówić praw sternictwa i od nich się bronić. Bo cóż gorszego wróg może naszemu życiu zrządzić, wróg, któremu oni drogę pokazują, z którym nieraz idą, nie widząc go — tak jest im blizki.

Żeby uzdrowić życie, trzeba sięgnąć poza politykę w moralność, ta na całej przestrzeni od dekalogu do zasady *salus reipublicae* jest podłożem życia publicznego. Choroby polityczne nie należą do skórnych, głęboko w życie sięgają. Dlatego uważam za stosowne popularne choćby — jak te — na ten temat uwagi. Uboga bowiem jest nasza wyobraźnia w sprawach życia narodowego, zbyt zewnętrznie je widzimy i dlatego tak trudno nam pojąć własną za stan rzeczy odpowiedzialność.

Z. WASILEWSKI

NA PIERWSZEJ WIORŚCIE

NA zawołanie poety Witolda Hulewicza staję do apelu. Przyjaciołom moim, znanym i nieznanym, mogło się to wydać dziwne, że dotychczas nie zabrałem głosu w sprawie, poniekąd dotyczącej mnie osobiście. Cóż — nie miałem ochoty krzyczeć w okresie, w którym, o ile chciało się być słyszanym, trzeba było umieć przekrzyczeć; tej umiejętności nie posiadam. Zresztą całe to załamywanie rąk, Kajfaszowe rozdzieranie szat było mocno podejrzane. Istotnie też, jak się to dowodnie okaże, przemycono zgrabnie pod płaszczykiem literackiej waśni, poza mało ważnemi pchnięciami w odsłonięte miejsca przeciwników—jad nienawiści potrójnej.

Weźmy do ręki jedną z recenzyj i wypiszmy ważniejsze zarzuty: znachor, prorok, mateczka Kozłowska w portkach, figle, dziecinna megalomanja, bałamucenie się opatrznościowe, apoteoza partactwa, nieodpowiedzialne wybryki, tańce świętego Wita, tokujący głuszec samoupojenia, petitowa genjalność, mistyczne reklamiarstwo, blaga, naiwny syn puszczy i t. d. — Wbrew opinji, która tego rodzaju ośmieszające powiedzenia zaliczać zwykła do „kawałów" — twierdzę, że w nich właśnie ukryta jest zasadnicza treść niewesołej wojny i w nich potocznie i bez osłonek wykreślone jest ustosunkowanie się krytyka do rozmaitych zjawisk i zagadnień. Lecz jest jeszcze jedno słowo, które zarzut zasadniczy streszcza, to: „Pol-Faust". Zagadnienie wysunięte w tej uszczypliwości, która jest jednak określeniem zaszczytnem, streszcza się mniej więcej w takiej rozmówce: A: „Faust jest niemiecki, arcyniemiecki", B: „tak", A: „żadną miarą nie może stać się polskim", B: „Przeciwnie! Z chwilą gdy się z nim idzie do umysłu i czucia polskiego—musi stać się polskim!" A: „więc nacjonalizm?", B: „mogłoby nawet być i tak; lecz tu chodzi o coś dalszego", A:?!, B: „o to, że inaczej być nie może, że wszystko inne będzie kłamstwem (lub zakłamaniem), grzechem i krzywdą". Naturalnie, dyskusja najżarliwsza nic tu nie zmieni i nikogo nie przekona; są to dwa biegunowo oddalone stanowiska. Pokusić się o ich zezgodnienie mógłby chyba szaleniec. Mogę więc jedynie powtórzyć i podkreślić moje: przekład istotny jest przekładem ducha utworu a nie słów; jest przemienieniem typu, charakteru i znamion rasowych na osobliwie rodzime cechy tego narodu czy rasy, dla której i przez którą jest tworzony (do cytat naukowych godzi się używać przekładów dosłownych prozą); w tym sensie staje się przekład poetycki poniekąd innem, nowem dziełem. „Faust" nie jest pod tym względem nietykalnem tabu.

Stanowisko to zrozumiał jeden z recenzentów, czyniąc z tego dziwaczny zarzut, że tłumacz chciał zapewne iść wzorem Mickiewicza i Słowackiego—zaraz też dodaje, „że dziś wymagania do przekładów znanych arcydzieł są zupełnie inne, surowsze"; być może; krytyka tego cenię bardzo, jako świetnego djalektyka, lecz ciarki mi chodzą po krzyżach, gdy zaczyna mówić o poezji — i — jakkolwiek wyda się to zapewne herezją—wyznam, że zdanie jego mniej sobie ważę, niż czyny Mickiewicza, Słowackiego, a „nawet" Norwida i Wyspiańskiego. Przepraszam; lecz powiedzieć to muszę.

Tutaj nasuwa się uwaga postronna; ten i ów mniej lub więcej powołany świeci nam w oczy przykładami sztuki czy myśli obcych narodów — nam, którzy gnuśni jesteśmy w poznawaniu i myśli i sztuki własnej, którzy zaledwie pod skorupą „historji literatury" przeczuwamy dalekości i wzniosłości niesłychane (od pieśni ludowych po — Wyspiańskiego i Żeromskiego); roboty i odróbki wbród! — Doprawdy — nietylko import (prócz dzieł największych) jest dość niepotrzebny, lecz nawet... ale to w tej chwili byłoby rzucaniem grochu o ścianę.

Wracajmy do rzeczy. Mimochodem pragnę odparować pomniejsze zarzuty: 1). Pośpieszność przekładu. Dość naiwnie mówi się o okresie kilkotygodniowym, w którym przekład został spisany — a pomija się lata, w których „Faust" towarzyszył tłumaczowi tak intensywnie, że przekład pamięciowy całych scen był oddawna przygotowany. 2). Brak w improwizacji Fausta słowa „niestety"; mam wrażenie, że bez zbytniego trudu mógłbym to trójzgłoskowe słowo „wtłoczyć" w trzynastozgłoskowiec; „Fausta" tłumaczyłem w widzeniu scenicznem, a już nic trudnego dla aktora pauzą i intonacją dać to wrażenie niestetowości 3). „Sercem zbawiona"; jakiem „sercem", poco „sercem"? — pyta recenzent; — sercem nie anatomicznem lecz tem, które jest synonimem miłości; nie jest to ani komentowanie ani poprawianie Goethego; finalnie Faust jest poematem wszechmiłości; a słowa inkryminowane „sercem zbawiona" znachodzą swój ideowy równoważnik w wierszu 11751: *Liebe nur Liebende führet herein!* 4). (insynuacyjny); łączy się z pierwszym; „Faust" zrobiony na zamówienie!! Jest to zatrute kłamstewko, wyssane z palca lub z pochopnej interpretacji jakichś komunikatów, których nie znam.

Nikt nigdy u mnie „Fausta" nie zamawiał; nigdybym też zamówienia takiego nie przyjął. Retorycznie rezonuje szanowny recenzent: „co sobie p. kierownik z p. Z. powiedzieli — nie wiem"; — ja oczywiście wiem i Miłaszewski wie i jeszcze ktoś trzeci (nie zawadzi mieć świadka), że rozmawialiśmy o ważności wystawienia „Fausta" w Teatrze Narodowym, że przekłady filologiczne utrudniają realizację sceniczną, że przekład poetycki walnieby sprawę posunął naprzód, podkreślam słowo: rozmawialiśmy, nie: powiedzieli—w tem bowiem słowie tkwi jakaś paskudna insynuacja konszachtów; było to w maju roku ubiegłego; w czerwcu zrekonstruowałem przekład pamięciowy (przy pomocy zapisków i notatek z lat kilkunastu), w sierpniu zawiadomiłem Dyrekcję Teatru Narodowego, że mam przekład „Fausta". Zaczęła się wędrówka z rękopisem od Annasza do Kajfasza; baczyłem pilnie, które fragmenty znachodzą lub nie znachodzą oddźwięku u poetów, aktorów i reżyserów. Przekład został przyjęty.

Tak więc te zarzuty i inne nie są istotnemi zarzutami; pozostaje tamten ważny, streszczający się w przezwisku „Pol-Faust". Lecz jest jeszcze drugi, to poetyckość przekładu; dla poetów jest on niewątpliwie zaletą i tak też to zrozumiano; inaczej poniektórzy krytycy (nie wszyscy); ci woleli dopatrzeć się tautologizmów, braku precyzyjności, śmiałości (w znaczeniu bezczelności), niezrozumienia (sławny zarzut, że *„Eritis sicut Deus..."* przepisałem z Wujka, jako usankcjonowanej asocjacji wszelkiej biblijności!!), rozchlapania, bezceremonjalności w stosunku do terminologji Goethego, obrzydliwstwa (w plotkowaniu mieszczanek przy studni użyłem kilku słów gwarowych— no—studnia to nie Wersal, a czerpanie wody — nie menuet) w sumie nierzetelności i nieuczciwości! — Niedwuznacznie pod temi napastliwościami recenzyjnemi nurtuje myśl i przekonanie, że „Faust" jest poematem twardym, ciężkim i niepoetyckim — wszelkie więc przeciwieństwo tych zasuggerowanych wmówień (w walnej części wysnutych z dotychczasowych przekładów polskich) było włożeniem kija w gniazdo osie. — Dla mnie „Faust" (obie części) jest utworem nawskroś poetyckim i scenicznym; życie jego nie w czytaniu, tylko w żywem słowie, geście i obrazie— tylko w teatrze! Żąda więc ujęcia oddźwiękowego;

dla polskiej widzowni ujęcia polskiego—nie innego! „Faust“ jako prawzór romantycznego dramatu polskiego, jako forma fundamentalna teatru polskiego (którego niema) — to byłby ideał dobrego przekładu; że pierwszym etapem tego teatru stanie się dramatyczna twórczość XIX-go wieku to nie ulega kwestji; że prawzorem tej romantyczności stanie się dla nas polski „Faust“ w to wierzę tak, jak w to, że mój przekład jest tylko wskazaniem drogi dla szczęśliwego poety-tłumacza, który przyjdzie. Ten przyszły przekład nie będzie tak skrępowany oryginałem, jak mój, będzie bogatszy w formie swoistej, przelewniejszy w dykcji poetyckiej, bardziej eksplozyjny w walorach scenicznych, prymitywniejszy w architektonice, oraz suggestywny jakiemś integralnem skupieniem pobrzmień „Dziadów“, „Za kulisami“, „Nie-Boskiej“, i „Wesela“.

Zarzut trzeci jawniej wypowiedziany, niż poprzedni, to: religijność. „Faust“ jest poematem religijnym, dytyrambiczno-misteryjnym—jako taki wymaga podkreślenia (znowu swoistego) tej sfery ducha, która się w i ą ż e (*religo*) z zagadnieniami boskości i człowieczeństwa; z drugiej zaś strony żąda oddźwięku, o który w tej chwili nie łatwo. Tani sceptycyzm, rozlewny mistycyzm, dufny racjonalizm to łatwe drożyny w s p a c e r z e życia. Lecz d r o g a życia, wiodąca pobok obowiązku wiary niezłomnej — to droga osobliwie trudna i w poniżoności swej aż bohaterska. W „nieoględnej prostocie ducha“ stwierdziłem to w rozmowie, której strzępy przedostały się na łamy dzienników i oto rychło doczekałem się repliki: „nie mamy najmniejszej ochoty pozwolić, aby nas ośmieszano, aby nas cofano ze zdobytego z trudem stopnia kultury“. Wspaniałe zdanie! Z tem niesłychanem, wszędobylskiem „my“! Niedawno przeczytałem artykuł, kończący się także tem „my“:—„cenniejszy jest nam żelazny pręt i wąż gumowy, niż opiewane dęby i lipy wieszcza. A na widok zawrotnego ruchu windy wpadamy w większy zachwyt, niżeli w obliczu wschodu słońca nad turniami“; naturalnie można i tak; każdy może wpadać w zachwyt, gdzie, jak i kiedy chce; intryguje tylko to maleńkie „my“; i pytam dalej, jaki to „z trudem zdobyty stopień“? — jaka „kultura“? — Tak to pokutuje zda się wyplenione pojęcie p o s t ę p u (ten „z trudem zdobyty stopień“), jako indyferentyzmu religijnego, indyferentyzmu zaciekłego, złego, ortodoksyjnie nietoleranckiego.

Te to trzy nienawiści wywołały wokoło „Fausta“, tłumacza i teatru wir i zamęt. Wzburzenie irytacyjne przybrało formy bardzo groźne dla atakowanych i bardzo uwłaczające dla atakujących. — Dodajmy do tego osobiste inwidje i antypatje, zawiedzione nadzieje i sprężystość konkurencyjną — a otrzymamy niewdzięczny obraz walki gazowej, jakiej byliśmy świadkami. Walka to zresztą dopiero rozpoczęta—i największem potknięciem się w dotychczasowej kampanji było przekonanie, że już wyrzeczono ostatnie słówka o „Pol-Fauście“. Tak kazała osądzić sprawę pycha, od której, jak słusznie zauważono, jedna tylko rzecz jest niebezpieczniejsza—pycha nieprzytomna.— Zasadniczo było to potknięcie jedyne, wyzwiska bowiem, te wszystkie trujące chwasty, wyrosłe na kompoście nienawiści troistej, rozkwitły w zawiei gniewu i złości, która jest jak wiadomo złą suflerką.

O całej tej sprawie, która nastręcza wiele łatwych potyczek i zajadłych zwalczań, nie zabierałbym głosu, gdyby nie to, że wymienione trzy główne i zasadnicze przyczyny napaści są niesłychanie znamienne dla naszej epoki. To, że polskość może być w Polsce wyczuwana jako niedowarzeństwo, poetyckość, jako romantyczne rozwałęsanie, a religijność, jako zacofany obskurantyzm — to ważne ostrzeżenie i świadectwo wielkiej zamieszki ducha. Po operacji wojennej stan wolnościowej rekonwalescencji jest pełen gwałtownych skoków gorączki, wyczerpującej organizm Narodu, wywołującej co pewien czas deliryczne majaczenie, w którem każda praca bliźniego staje się osobistą obrazą, którą na prawo i na lewo pomiatać wolno z równoczesnem wymazaniem intencyj uczciwych, a podstawianiem na ich miejsce domniemanych intryg, snobistycznych korzyści i załamań. Co tu dużo mówić — część społeczeństwa stacza się pod względem etycznym gwałtownie w przepaść. I jest to moment dla każdego widzącego osobnika nad wszelki wyraz bolesny, gdy do tych samobójczych opętańców musi zaliczyć ludzi skądinąd szacownych i wartościowych.

To, co kiedyś nazwałem zgubną wstydliwością uczuć, przerzuca się na coraz szersze plany; wstydzimy się polskości, poezji i religji, mówimy o tem w cztery oczy przy drzwiach zamkniętych; na zewnątrz, na forum, jesteśmy sennie drwiący i „zrównoważeni“ — jesteśmy europejczykami (p r a w i e Francuzami północy), racjonalistami jak „przystało na mężów rozsądnych“, ludźmi wolnymi (tak jakby nałóg niewiary nie był niewolą), indyferentami— religijność bowiem śmieszy i ośmiesza!—Tem wszystkiem zyskujemy suty poklask tych, którym to bardzo a bardzo na rękę (tym razem „my“ odnosi się do wszystkich).

Nazwano mnie synem puszczy i głos mój jest głosem wołającego na puszczy.

Od lat modlę się o łaskę cierpliwości; słodyczy jej zaznałem już wielokrotnie. I dziś z hałasu portowego, z wyzwisk, przekleństw, z gniewu i wygrażań, pod jej banderą wyjechałem na pełne morze. Niechybnie wymierzony kamień trafi mnie i tu.

Z przykrością konstatuję, że nie zdołałem przytłumić tu i owdzie wychylającej się szorstkości, której już złagodzić nie potrafię. To bardzo źle! Z chorymi, z ciężko chorymi trzeba się obchodzić jaknajdelikatniej, jaknajciszej, jaknajłagodniej. Wybaczcie mi, którzy niezapomnieliście wybaczać!

EMIL ZEGADŁOWICZ

CONRAD A POLSKA I ANGLJA

II

JEŚLI chodzi o stosunek Conrada do morza, po którem żeglował przez lat dwadzieścia cztery, to wcale wyraźnie dostrzegamy charakterystyczne rozdwojenie. Conrad kocha morze, przedmiot swych marzeń młodzieńczych, to morze jednak nie wiele ma wspólnego z konkretnym żywiołem. Chodzi o „pewnego rodzaju miłość, na którą wpłynąć nie mogą błahe uśmiechy i błahe pasje morza. Uczucie to — miłość—z natury rzeczy naiwne jest i ma ostoję w wyobraźni“ („*Well Done*“ w zbiorze „*Notes on Life and Letters*“). To też na realne morze pisarz ten patrzy zgoła bez entuzjazmu, mierzy je okiem krytycznem, czasem nawet nieprzyjaznem i pogardliwem: „I czemże jest to morze“—pyta w cytowanym wyżej artykule—„ów przedmiot tylu apostrof, zwróconych do wielkości jego i tajemnicy przez ludzi, co ich nie zgłębili? Morze jest niezdecydowane, samowolne, bezkształtne, gwałtowne. Coś czczego jest w pogodzie morza, jeśli jej nie ozdobi różnolity majestat niebios, i coś głupiego w gniewie... Sam bezmiar jego jest nużący“.

Morze tem głównie wywierało na Conrada urok, że w oczach jego była to dziedzina angielska. Dokazał przecież nielada sztuki, zasymilowawszy się kulturalnie

na morzu, zdala od społeczeństwa angielskiego, w otoczeniu, które samo przez się nie tak wiele miało siły asymilacyjnej. Wcale też wcześnie (nie miał jeszcze lat czterdziestu) porzucił włóczęgę po morzach i osiadł na stałe w Anglji, gdzie założył ognisko rodzinne i spędził połowę niemal—bo ostatnie trzydzieści lat życia.

Zbyteczna tłumaczyć, że Anglja nie potrzebowała pozyskiwać dla siebie przybysza, który w najdalszych nawet zakątkach świata podlegał jej urokowi. Conrad przybył do Anglji z gotową miłością, z drugiej zaś strony z biegiem lat przywiązywały go do kraju jego wyboru łączniki innej kategorji: wspomnienia i przeżycia, „węzły nieskończenie drogie i serdeczne“, które stosunek ostatecznie unieruchomiły i zdeterminowały. Że jednak pierwszy czynnik nie przestawał grać roli, widać np. z urywka, w którym opisuje pożegnanie swe z ziemią angielską przed wyjazdem do Polski w r. 1914.

„Uniosłem w oku ten szczątek Wielkiej Brytanji: pola, pagórek zalesiony, parę kęp drzewnych, skrawek drogi, tu i owdzie przebłyski czerwonego muru i dachówki, widniejące nad ciemniejszą plamą żywopłotów, owitych w delikatną mgłę i spokój. I poczułem, że to wszystko dzierży nademną władzę, jako uosobienie dobrotliwego i szlachetnego ducha, że jest mi to drogie, nie jak dziedzictwo, lecz jak nabytek, jak podbój w tym sensie, w jakim można mówić o zdobyciu kobiety przez miłość, co jest uległością... Dla moich towarzyszów podróży (żony i synów) i kształty i duch kraju były dziedzictwem, nie zaś posiadłością zdobytą, której tytuł posiadania jest słabszy i która przez to jest rzeczą najdroższą, raczej bowiem ona cię posiada, narzucając ci obawę, żeś niegodny, niźli ty czujesz się posiadaczem“.

Ta obawa niegodności i te porównania z miłością dowodzą, że Conrad nawet po długoletnim pobycie w Anglji jest ciągle przybyszem, który na kraj swego wyboru patrzy zakochanemi oczami. A podobnie bardzo mówi o swym stosunku do mowy angielskiej. Tę kochał chyba najwięcej ze wszystkiego w swoim nowym świecie. Oto jakie wynurzenie, zadziwiające w pewnych punktach, przekazuje nam w *„Personal Record“* (str. 281):

„Angielski — język mego tajnego wyboru, mojej przyszłości, język długotrwałych przyjaźni, najgłębszych przywiązań, język godzin pracy, godzin wywczasów, a także godzin samotnych, język przeczytanych książek, przesnutych wątków myśli i zapamiętanych wzruszeń, język nawet snów moich! A choć (urobiony przezeń w niezniszczalnej części mojej istoty) nie śmiem głośno powiedzieć, że to mój język, to przynajmniej jest to język moich dzieci“.

Conrad korzy się przed genjuszem tego języka. Jak powiada w drugiej przedmowie do *„Personal Record“*, nie on przyswoił sobie angielski, lecz raczej angielski przyswoił go sobie. „Serdeczny to był, więc tajemniczy bardzo proces. Wytłumaczyć go byłoby równie trudno, jak miłość od pierwszego spojrzenia“. Żadne względy, żadne myśli nie mącą szczęścia, którem napełnia serce powieściopisarza świadomość dzierżonej nad tą mową obcą władzy: „Zdolność władania angielszczyzną nie staje mi się mniej droga przez to, żem jej nie otrzymał w dziedzictwie, żem tylko odkrył ją w sobie. Komu dostał się dar tak wielki, ten nie może okazać się niegodnym wspaniałej fortuny“.

Jak wiadomo, zarzut niegodności nie padł nigdy z niczyjej strony, przeciwnie, krytycy zgodnym chórem obwołali Conrada mistrzem słowa, świetnym stylistą, znakomitym prozaikiem. Już pierwsze dziesięciolecie twórczości, rozpoczętej „Fantazją Almayera“, a dalej przynoszącej utwory takie. jak „Murzyn z załogi Narcyza“, „*Lord Jim*“, „Młodość“, „Tajfun“, „Nostromo“ wystarczyło zupełnie do ustalenia w tej mierze reputacji powieściopisarza, o którym wiedziano jednak i powtarzano, że Anglikiem nie jest.

Lecz o Polsce daremnie szukalibyśmy jakiejkolwiek wzmianki we wszystkich owych wcześniejszych powieściach i nowelach. Dopiero w roku 1907 znajdujemy pierwszą, bardzo zresztą skromną — o „śniegu, błocie i kurzu pól polskich“, po których maszerują wojska napoleońskie („Pojedynek“, w cyklu „Sześć opowieści“). Nigdy zaś Conrad nie był tak blizki zupełnego utożsamienia się z Anglikami, jak na parę lat przed wydaniem tego cyklu, w okresie tworzenia „Zwierciadła Morza“. „Męstwo naszych przeciwników, chwały tylko przydało naszemu orężowi“ — woła w hymnie ku czci Nelsona i zwycięstw angielskiej floty wojennej. „Bóg wichrów i bitew, sprzyjając orężowi Anglji do ostatka, pozwolił zajść w bezchmurnej glorji słońcu angielskiej floty żaglowej i najpierwszego z jej wodzów“ — to jedno zdanie daje pojęcie o tonie owego peanu.

Lecz w r. 1908, pisząc wspomnienia, dłużej myślą zatrzymuje się w Polsce i podejmuje nawet rachunek sumienia. Przytoczymy zeń urywki, charakterystyczne dla poglądów Conrada w tym czasie.

Autor usunąć pragnie wszelką możliwość konfliktu między uczuciami, wiążącemi go z Polską i Anglją. „Wierność względem dawnej tradycji trwać może poprzez perypetje nowej, nieskojarzonej z poprzednią, egzystencji, która zresztą nie zbacza z drogi, wytyczonej przez niewytłumaczalny impuls“. Eskapadę swą podjął w duchu „niewinnej przygody“, nie myśląc obrazić obowiązków patrjotycznych. Nie zadość uczynił im jednak. Porównywając się z dziadem, Mikołajem Bobrowskim, co głód cierpiał w kampanji Napoleona z r. 1812, Conrad, który niejednokrotnie także zaznał niedoli, takie snuje gorzkie refleksje: „I ja przymierałem o głodowych racjach, lecz to było z mej strony tylko folgowanie głupiemu kaprysowi, bo czemu ja, syn kraju, którego ziemię pługiem krajali i krwią zraszali tacy oto ludzie, wziąłem się do poszukiwania fantastycznego jadła na dalekich morzach? Niestety! Pewien jestem, że są ludzie prawości nieskazitelnej, co pogardliwie rzucić gotowi słowo: „dezerter“. Tak goryczą zaprawić można smak niewinnej przygody“. Replikuje więc: „Należy wziąć pod uwagę to, co niewytłumaczalne, gdy się sądzi postępowanie ludzkie w tym świecie, gdzie niema wyjaśnień ostatecznych. Nie wolno z lekkiem sercem zarzucać komuś złamania wiary. Pozory zwodnicze są w tem doczesnem życiu, jak wszystko, co podpada pod nasze niedoskonałe zmysły. Głos wewnętrzny może jednak mieć słuszność, gdy daje tajemne rady“. Lecz ostatecznie zrzeka się wszelkich replik: „a może niema tu żadnego wytłumaczenia“.

Inną jednak podejmuje obronę. Ta nie zmierza bynajmniej do wykazania bezpodstawności zarzutów, które sam sobie pierwej postawił. Przyznaje,że nie był „dobrym obywatelem“. Oświetla natomiast drugą stronę sprawy, podnosząc niezależność zupełną wyobraźni, władzy zdolnej zniewolić jednostkę wbrew jakimkolwiek innym siłom.

Powołuje się więc na wzór patrona fantastów, Don Kichota, nie poto, żeby przeprowadzić paralelę: — „Boże broń, aby niegodny włóczęga miał uniknąć zasłużonego potępienia, czepiając się strzemienia idealnego rycerza“— lecz żeby wskazać, iż rycerz ten, w marzeniach swych tak szlachetny i bezinteresowny, folgował przecież swym fantazjom. „Oto jedzie w świat ten patron wszystkich żywotów, zgubionych lub zbawionych przez uroczny wdzięk wyobraźni. Lecz nie był dobrym obywatelem“.

Słowa powyższe, jak już wspominaliśmy, pisał Conrad w r. 1908; można wątpić, czy są one ostatecznym wyrazem jego stosunku do Polski. — W roku 1911 napisał nowelę „Książę Roman“, osnutą całkowicie na tle

epizodu z dziejów powstania listopadowego, zadziwiającą głębią i delikatnością uczucia, mocą i czystością tonu patrjotycznego. Lecz noweli tej za życia nie opublikował.

Dalszym etapem jego stosunku do Polski stał się wybuch wojny światowej, który Conrada zaskoczył w Polsce, dokąd, jak już wspomnieliśmy, wybrał się wraz z rodziną w r. 1914 na wakacje. Jechał do kraju, uświadamiając sobie, że inna to zupełnie dla niego podróż, niż dla jego rodziny. „Dla nich była to podróż w przestrzeni, gdy ja coraz lepiej zdawałem sobie sprawę z tego, żem poważył się na podróż w czasie, podróż w przeszłość. Groźna to perspektywa nawet dla ludzi z jednej bryły, dla człowieka zaś, co nie umiał poskromić impulsów i zachować ładu i ciągłości w swem życiu — tak, że czasem widział je w sumieniu, jako szereg zdrad — rzecz jeszcze straszniejsza".

Zrazu wybuch wojny nie zdawał się, w przekonaniu Conrada, zwiastować dla Polski lepszych czasów — przeciwnie, wydało mu się, że Polska znalazła się nad skrajem przepaści. Ten nastrój beznadziejności udzielił mu się od kół miejscowego społeczeństwa, w którem zobaczył tylko „niepokój umysłów i rozterkę sumień". Były to przeżycia tak przygnębiające, że po powrocie do Anglji pisał: „Jam patrzał na to wszystko — i cieszę się, że już nie tak wiele lat mi zostało na wspomnienia owego strasznego uczucia".

Jednakże wprędce pojął Conrad możliwości, które wojna otworzyła przed sprawą polską, i nawet zajął się odpowiedniem urabianiem umysłów w Anglji. W roku 1916, jeszcze przed przystąpieniem Rumunji do wojny, złożył jakiemuś wpływowemu Anglikowi krótki memorjał w sprawie polskiej, proponując jako rozwiązanie rozciągnięcie przez Francję i Anglję protektoratu nad Polską w ciągu pierwszych dwudziestu lat jej państwowego bytu, poczem opieka ta miałaby zniknąć na zawsze („*Note on Polish Problem*", w „*Notes on Life and Letters*"). Wykazywał też Conrad, że głównym wrogiem Polski są Niemcy, co nie było dlań ideą nową, gdyż jeszcze w r. 1905 w szkicu, do którego napisania asumpt dała mu wojna japońsko-rosyjska, rzucił słowa: „*Le Prussianisme — voilà l'ennemi!*" „Wprost nie do pomyślenia jest, żeby Polak mógł być germanofilem"—objaśnia autor wspomnianego memorjału. „Inne orjentacje, rusofilską czy austrofilską, wytłumaczyć można od biedy, jako objawy rozpaczy, wywołanej wrażeniem, iż położenie Polski w Europie jest całkowicie beznadziejne".

Gdy rzeczywistość przewyższyła nadzieje i Polska odrazu bezpośrednio po wojnie odzyskała niepodległość, Conrad uznał w tym fakcie cudowne zrządzenie Opatrzności, choć wogóle nie godził się dawniej z myślą o możliwości dobroczynnej interwencji sił wyższych w sprawy ludzkie. Przeciwnie, niewiara w rządy Opatrzności była jednym z kamieni węgielnych jego ideologji. Raziła go bezsensowność świata, „zdążającego z bezlitosną logiką do marnych celów". (*Heart of Darkness, Dent, 170*). Teraz natomiast uznał, iż „chłodny i beznamiętny rozbiór okazuje, że świat jest przedewszyskiem widownią cudów". Zdanie to znajdujemy w artykule propagandowym o „Rozbiorach Polski", napisanym w r. 1919, i najlepiej obznajamiającym z historjozofją autora.

„Dobrze będzie pamiętać"—tłumaczy swym czytelnikom angielskim—„że niepodległość Polski, wyrażająca się w istnieniu Państwa Polskiego, nie jest prezentem od jakichś dzienników, ani wypływem jakiejś szczególnie dobroczynnej idei, czy jakiegoś wyraźnie uświadomionego poczucia winy... Państwo Polskie przychodzi na świat wolne moralnie, wolne od zobowiązań — nie z tytułu cierpień, lecz dzięki cudownemu odrodzeniu i zasługom starym, położonym dla Europy..."

Z drugiej strony pod koniec życia również wyobraźnią oddalał się Conrad od Anglji. W twórczości jego coraz większą rolę grały reminiscencje wczesnej młodości i coraz dźwięczniej odzywała się nuta patrjotyczno-liryczna. Dowodem tego ostatnie utwory powieściopisarza, zwłaszcza „Korsarz".

Rosła też tęsknota za krajem ojczystym. „Zdawało się czasem, że rzucić chce wszystko i do Polski powracać" — zaświadcza Galsworthy na podstawie relacyj żony przyjaciela, i dodaje komentarz, który wcale nie brzmi dziwnie w ustach czołowego szermierza idej „humanistycznych" we współczesnej beletrystyce angielskiej. „Było to wołanie początku życia do jego końca—nic więcej".

* * *

Wybraliśmy i zestawiliśmy oto szereg momentów, które razem składają się na niepełną wprawdzie, lecz bądź co bądź nie fantastyczną charakterystykę stosunku Conrada do Polski i Anglji. Osobiście przez całe życie uważał się ten powieściopisarz angielski za Polaka; taki przynajmniej wniosek wyprowadzić można na podstawie danych, zaczerpniętych z jego utworów, gdzie rzadko wprawdzie wspomina o swej polskości, ale też się jej nie wypiera. Niekoniecznie ściśle bowiem wykładane być muszą wspomniane wyżej urywki ze „Zwierciadła Morza", gdzie również mówi np. metaforycznie o swych przodkach marynarzach. Dodać należy, że Anglicy, jak się zdaje, nigdy nie uważali Conrada za swojego.

Tak. Lecz, jak wspominaliśmy, więź psychiczna między krajem ojczystym a wygnańcem dobrowolnym było stosunkowo słaba. Dzieje osobiste wielu największych budowniczych polskości podobne były przecież do dziejów Conrada. Warto przypomnieć sobie, w jak młodych latach opuszczali ojczyznę na zawsze Mickiewicz, Chopin czy Słowacki, jak przebywając w najsilniej promieniejących ogniskach cywilizacji zachodniej, nie ulegli ich wpływowi asymilacyjnemu, jak czuli się w nich obco; z jaką siłą wyobraźnię ich pociągała Polska, Polska dawna, współczesna i przyszła; jak w obcych środowiskach wydoskonalili język polski i stworzyli polską mistykę narodową. Conrad nie jest twórcą tego samego typu. Tak od sprawy narodowości autora przechodzimy do sprawy narodowości dzieła. Czy Conrad jest pisarzem polskim?— tem zagadnieniem zająć się wypada oddzielnie.

WITOLD JERZY CHWALEWIK

SPOTKANIE W POLACH

Tu się spotykam z Tobą twarzą w twarz
w słońcu, we wichrze, w aksamitnej runi —
tu nad mem sercem nieprzerwanie trwasz,
jak pieśń skrzypcowa, sciszona przez tłumik —

W żywej Twej piersi zapuszczam korzenie
skarlały wielce, schorzały Twój szczep —
czuję krew Twoją, jak ognia strumieniem
dźwiga mnie w błękit — w ciszę wolnych nieb —

Słonecznym błyskiem, jak ostrzem topora
odcinasz każdy zbyt przyziemny pęd —
Ogniem krwi Twojej rozkwitam na koral,
w słońca komunji śnieżę się nad śnieg —

I jestem prosty, jak prosty jest krzyż,
błogosławiący swe własne rozdroża —
Palcem w mem sercu, jak gwóźdź w ranie tkwisz —
osamotniony na szczytach gwiazd, Boże!

JÓZ. AL. GAŁUSZKA

KOGUT ASKLEPIOSA

1

KAŻDY z nich, brany zosobna, na pierwszy rzut oka niczem się nie odznaczał, coby mogło zwracać uwagę lub zastanowić. Ksiądz Adam Rajca modlił się z brewjarza i odprawiał mszę św. zupełnie tak samo, jak inni kapłani, jak inni katecheci uczył młodzież gimnazjalną praw Bożych i Historji Świętej. Podobnie ulepiony był, według rozpowszechnionego wzoru, inny nauczyciel tegoż gimnazjum, klasyk Paweł Smochowski. Odrabiał on lekcje łaciny i greki, cicho męcząc się ciężkiem powietrzem wnętrz szkolnych i niekłamanem znudzeniem uczniów. Dopiero gdy się ich obu postawiło razem, o ile można poza strefą obowiązków, więc poza uczelnią i kościołem, wówczas różnice rzucały się w oczy same. Wtedy było widać, że ksiądz Rajca jest człowiekiem tęgim, tęższym i nieco wyższym ponad zwykłą miarę, gdy profesor Smochowski, nawet jak na swój średni wzrost, musiał być uważany za szczuplejszego od ludzi przeciętnie szczupłych. Rozpatrując następnie, już przy szczegółowszem badaniu, osobliwości twarzy, widziało się, że katecheta musi być istotą dobrą, choć pobudliwą, a klasyk nosi pod przystrzyżonym ryżawym wąsem zarzewie przekornego uśmieszku.

Jeszcze jeden rys, uwydatniający dynamikę tych ludzi we wzajemnych ich stosunkach. Po najcięższym nawet dniu szkolnym, kiedy to nauczyciel zazwyczaj przygaśnięty bywa i obolały, ci dwaj, zetknąwszy się z sobą, tętnili wzmożonem życiem wewnętrznem — czy to podczas gry w szachy, czy na kawie w cukierni, czy też na zamiejskiej przechadzce. Słowem działali na siebie silnie, jak narkotyk, sobie szczególnie widać blizcy i sobą zajęci — owi doniedawna zaciekle zwalczający się nieprzyjaciele.

Źródłem tej ich pierwotnej niechęci były różnice zawodowe w poglądzie na świat i na zakres obowiązków. Katecheta, nie bardzo wymowny, ale skłonny do wybuchów, stykając się w szkole ze Smochowskim, klasykiem, a z wyznania dziedzicznym kalwinistą, przez długi czas jeżył się, odymał, a wobec heretyka przy każdej sposobności podkreślał swoją, jako sługi kościoła, żarliwość. Tamten, widząc to, nastrajał się na ton nietylko już protestancki, ale zgoła pogański. Posiedzenia rady pedagogicznej były przeważnie tak beznadziejnie nudne, że członkowie jej ze szczerem zadowoleniem śledzili przebieg potyczek, staczanych przez dwu przeciwników, z których jeden aż dyszał ogniem krucjat, a drugi namiętnie domagał się stosowania w wychowaniu zasad antyku: niepodległości wewnętrznej, oraz kultu piękna i doczesności. Że nie doszło tam nigdy do poważniejszego starcia, to było zasługą przedewszystkiem dyrektora, osoby wysoce oględnej w słowach i w przekonaniach.

Kiedyś wszelako spór, dotąd przez adwersarzy prowadzony jak gdyby z filozofją wrogiego kierunku, bez wymawiania nazwiska przeciwnika, wszedł w fazę osobową i, jak się przekonamy, krytyczną dla charakteru stosunków, jakie dotychczas nie tyle łączyły zapaśników, co ich oddalały.

— Panby pewnie chciał samego Boga rozumu uczyć! — z jadowitym uśmiechem zawołał katecheta do klasyka, już w szatni, po jakiejś burzliwszej, niż zwykle sesji. Na taką zachętę do dalszej walki, dotąd prowadzonej na forum rady, katecheta mógł sobie pozwolić właśnie dzisiaj, jako w dniu pod względem elokwencji wyjątkowo dla niego pomyślnym.

— Hmmm... Rozumu uczyć tobym się nie odważył — z pod ryżych wąsów warknął blady klasyk. — Ale trochę filozofji przyrody, ale nieco biologji ze szczególnem uwzględnieniem człowiekoznawstwa, toby się może przydało. Zwłaszcza jeżeli idzie o personalja służby Bożej...

Katacheta, który dotąd jeszcze płonął uniesieniem boju (był to dzień bardzo dobry), nie dał klasykowi dokończyć i huknął na całą klatkę schodową:

— Bluźnisz pan! Ja do biskupa napiszę!

Teraz bez przesady można było powiedzieć, że przeciwnicy sczepili się w gwałtownej, niepohamowanej kłótni. Zmieniali tonację, poziom i figuralność stylu, jak broń szybko się szczerbiącą, próbowali groźby, sarkazmu, oburzenia, wypominali sobie inkwizycje, stosy Husa i Serveta, spalenie bibljoteki aleksandyjskiej przez ortodoksyjnego biskupa, małżeństwo pastorów. Ani się spostrzegli przytem, jak otoczyła ich cisza sinych pól podmiejskich, oświetlonych zamgloną pełnią listopada. Zarzuty i wyrzuty nie ustały i w drodze powrotnej przeciwników do miasta. I znów ani się spostrzegli, jak trafili do jakiejś jadłodajni, a później jak przez godzinę z górą wzajemnie się odprowadzali, ciągle w zapamiętaniu dyskusyjnem.

Rozstali się grubo po północy, obaj, Bogiem a prawdą, zadowoleni, iż nareszcie nadarzyła się im okazja bezpośredniego wyładowania niechęci.

— Fanatyk obskurantyzmu ciemnogrodzkiego—krzywił się z politowaniem klasyk, gasząc w sypialni światło.— Ale com mu dał, tom dał!

— Co za demoralizacja! Co za chaos w pojęciach!— w tym samym czasie ubolewał ksiądz, z postękiem dobrej tuszy wstając z klęcznika. — Jeżeli nawet za mocno odemnie oberwał, to dobrze mu tak, niech ma za swoje!

2

Skoro już doszło do bezpośredniego zetknięcia i skoro to zetknięcie nie dało walnego zwycięstwa, to jest poddania się jednego z przeciwników, jasny stąd wywód, że dyskusja musiała mieć ciąg dalszy. Szermierze spotykać się zaczęli coraz częściej, zrazu na gruncie obcym, na przechadzkach, w cukierni, u wspólnych znajomych, a później nawet u siebie.

Jeżeli spotkanie wypadało u Smochowskiego, bolesciwy wzrok księdza błąkał się po ozdobach mieszkania, wśród których o b e c n i e nie brak było wizerunków Kalwina, Husa, ani też posążków bóstw, dyskobolów i gladjatorów z popiersiem Sokratesa na miejscu naczelnem. W obliczu tak bezecnych upodobań — bądź co bądź kolegi — kapłan wzdychał ciężko, snać martwiąc się, iż zaskorupiała w grzechach dusza poganina, o ile gruntownie się nie zmieni, nieodwołalnie musi iść do piekła. Kto wie, czy tej chrześcijańskiej boleści nie wzmógłby jeszcze gniew, gdyby pobożny kapłan dowiedział się, że wszystkie te posążki i obrazy klasyk sprowadził z Warszawy dopiero teraz, właśnie przed oczekiwanem przybyciem księdza poczuwszy ich brak w mieszkaniu.

Bezstronność każe nadmienić, że inwentarz sprzętów w mieszkaniu katechety również uległ odpowiedniej zmianie. Nastąpiła ona wtedy, gdy ksiądz Adam po długim namyśle postanowił zaprosić heretyka do siebie, a powziąwszy tę zasobną w następstwa decyzję, z lękiem stwierdził, że w mieszkaniu jego nie dość silnie podkreślony jest duch katolicki. To też, ku niemałemu zaciekawieniu pani Kolasińskiej, od której ksiądz odnajmował dwa pokoje, pewnego popołudnia zaczęli chłopcy sklepowi zno-

sić duże paczki, poczem przez godzinę, a może i dłużej, w izbach zajmowanych przez kapłana rozlegał się stuk młotka oraz skrzyp przesuwanych sprzętów. Więc gdy tegoż wieczora pani Kolasińska, wdowa po emerycie, niosła do pracowni księdza herbatę, to omal nie wypuściła z rąk tacy, tak oszołomił ją nieoczekiwany a piękny widok: figury Madonny i Chrystusa, liczne obrazy treści religijnej, a na stołach i biurku wachlarzowato rozrzucone dzieła ojców Kościoła, w ozdobnych, mszalnych niemal oprawach.

— Przenieśmy w wyobraźni proces Sokratesa w średniowiecze — rzekł kiedyś profesor Smochowski, częstując u siebie katechetę rzekomo greckim koniakiem—a rychło się przekonamy, że ci, którzy mędrca na śmierć skazali, to nietylko nienawidzące wszelkiej wielkości pospólstwo, ale jeszcze nowy, z tem pospólstwem sprzymierzony czynnik, nie mniej konsekwentny w zwalczaniu ducha, mianowicie kler chrześcijański.

Na te słowa ksiądz spłonął rumieńcem oburzenia. A że to był dla niego dzień niedobry, dzień osłabienia czynności krasomówczych, więc, jak to w takich razach bywało, ograniczył się do nieargumentowanych sprzeciwów:

— Wprawdzie-m nie studjował w akademji... warunki tak się składały, choć zdaniem przełożonych zdradzałem duże zdolności, choć zatem... To jednak bez trudu bym dowiódł, że pan plecie głupstwa.

Ściągnął brwi i, pełen urazy, zerkał niechętnie ku szafie bibljotecznej, na której stało popiersie umierającego Sokratesa.

— Księże Adamie—spytał wtedy Smochowski z uroczyście poważną miną — czy Sokrates, choć nie katolik, a nawet wredny poganin, jest zbawiony? Wszakżeż cnót jego nie kwestjonujecie?

Ksiądz Rajca nie lubił tego rodzaju pytań, których zresztą nie szczędziła mu młodzież wyższych klas. Ale jeżeli niewczesną ciekawość uczniów można było poskromić suggestją katedry i dziennika, to z tym heretykiem, i bądź co bądź kolegą, sprawa przedstawiała się gorzej.

— Troszczcie się lepiej, drogi przyjacielu, o zbawienie własnej duszy — odpowiadał markotny — a dusze wielkich pogan pozostawcie łasce Pańskiej.

Po którejś z kolei wizycie Smochowskiego, gdy po obiadku ksiądz przeglądał dzienniki, cicho weszła pani Kolasińska — uśmiechnięta żółta mumja w czarnej sukni.

— Przepraszam księdza dobrodzieja — nieśmiało pisnęła—chciałam tylko zapytać, czy ksiądz prefekt wie, że pan Smochowski to podobno luter i że u siebie w domu trzyma bezbożne figury?

W pokornej postawie i w lękliwym głosie tkwił jakiś cierń zatajony, gdyż ksiądz aż się otrząsnął, brwi zmarszczył i przez ramię zawołał tonem pogróżki:

— Moja pani Kolasińska!

Potem znowu, jeszcze donośniej, stawiając ostry akcent na nazwisku, aż wołanie to zabrzmiało niczem klątwa:

— Moja pani Kolasińska!

Ją zaś okrzyk ten jak gdyby przygwoździł. Rozpostarta na drzwiach, wystrachana nie na żarty, trzepotała się, czarna i brzydka, niczem nietoperz przy dziennem świetle.

Aż z piersi jej wypadł przejmujący pisk. Bo oto ksiądz nagle zerwał się od biurka, cisnął precz gazetę i ciężko skoczył ku paniusi, która, kucnąwszy teraz bezradnie, żółtolica, z ciemnem kółkiem rozwartych ust, zdawała się czekać piorunu.

Księdza musiał jednak otrzeźwić jego własny ruch, bowiem gdy się znalazł koło drzwi, u których trzęsła się wdowa, zupełnie już poprawnym głosem, nastawionym na ton zwierzenia, oświadczył:

— Pani Kolasińska, on niechybnie się nawróci...

3

Taki mniej więcej przebieg miało zbliżenie się dwu przeciwników. Zbliżenie to czy też zażyłość można byłoby już teraz nazwać przyjaźnią, gdyby nie obopólna gotowość bitewna, która adwersarzy nie opuszczała nawet w chwilach pokojowej gawędy.

Im gwałtowniej ksiądz Rajca zwalczał Grecję i Rzym pogański, tem głębiej pan Paweł wnikał w dzieje, w sztukę i w myśl antyku, byle tylko mieć świeży materjał do najbliższej dyskusji. Wiele w tem było przekory, a wiele czystego przekonania, to może być obojętne, nie ulega jednak wątpliwości, że tutaj przekora stała się potężnym bodźcem do wytrwałych, choćby nawet nie bezinteresownych studjów. Ksiądz ze swej strony wieczory spędzał nad literaturą teologiczną i historją kościoła, marząc skrycie o jakimś olśniewającym akcie oskarżenia, z którym kiedyś wystąpi przeciw pogaństwu i herezjom i który prowincjonalnego katechetę wprowadzi na wyższe stopnie hierarchji oraz zasługi. A im więcej pracował, tem coraz dotkliwszy ciężar osiadał mu na duszy. Czy zdoła aby taki ogrom wiedzy przyswoić sobie dzisiaj w czterdziestym piątym roku życia? Czy rozgryzie kiedy konstrukcje myślowe, których dotąd, mimo wysiłki — trzeba mówić szczerze—nie rozumie?

Po nocach śnić mu się zaczęły góry książek, jedna wyższa od drugiej, a każda z tych ksiąg miała swój własny ruch, swoje życie i swoje tajemnice. I to wszystko trzeba było ogarnąć, rozwiązać, wchłonąć, by móc skutecznie stawiać czoło wzmagającej się erudycji poganina?

Ze straszliwego snu budził go wtedy jęk własnej bezsiły i rozpaczy.

— Taki podobno byłem zdolny, a obecnie Boża mądrość przychodzi mi z takim trudem — żalił się sobie, wstając rano z uczuciem niewysłowionego znużenia.

Przed zniechęceniem ratował się modlitwą i czytaniem Pisma. Zwłaszcza Ewangielje stawały się tem źródłem, z którego skołatana dusza czerpała siły i sens istnienia.

— Chcę być kapłanem maluczkich — wstydliwie zwierzył się kiedyś Smochowskiemu, gdy go ten wciągał na jakieś strome szlaki dysputy.—Z maluczkimi bliżej się czuję Stwórcy, bo te książki, księgi! Rozdęty wiedzą umysł traci poczucie Boga i prawdy. A przecież Bóg to święta prostota i najoczywistsza prawda...

Później dodał:

— Wprawdzie za młodych lat byłem zdolny, ale zrozumcie, panie Pawle: głos wewnętrzny zalecał mi wyrzec się doktoratów — w imię ubóstwa, wstrzemięźliwości intelektualnej. To było duże wyrzeczenie się, wierzcie mi...

— A może dobrodziej trochę obawia się wiedzy?— bezlitośnie badał Smochowski.

Ten z łagodnym uśmiechem chwiał szpakowatą głową.

— A gdyby nawet, moi drodzy? Czy Boga wiedzą się poznaje i Jego istnienia dowodzi? Ja sam jestem tego istnienia dowodem bezsprzecznym. Widzicie, panie Pawle, Bóg jest przedewszystkiem Bogiem człowieka zwyczajnego. Talentów Mu nie trzeba, to pewna. Czem Go olśnić zdołamy, pytam?

W uprzejmem milczeniu Smochowski spoglądał na rozrosłą postać kapłana, który tak żarliwie głosił ascezę umysłową, jako miłą Bogu ofiarę.

(d. c. n.) WACŁAW FILOCHOWSKI

LIBERUM VETO

Czem Polska właściwie jest i jak się nazywa.—Przykład organizacji dziwotworu. — Minister jako konsul i posterunkowy. — Związek związków jako drugi rząd. — Państwo a nie państwo, rząd a nierząd. — Komisja administracyjna.— Bandyci z socjalistów. — Nowe szachrajstwo dyplomacji. — Rada Krasickiego.

POLSKA nie może dotąd ustalić ani swego charakteru politycznego, ani swej nazwy. W przeszłości była faktycznie związkiem drobnych państewek szlacheckich a nazywała się jednem państwem; była z organizacji królestwem a z tytułu respubliką. Podobnie dzisiaj. Ma być Rzecząpospolitą, a jest związkiem związków zawodowych, ma być ustrojem kapitalistycznym, a rządzona jest socjalistycznie, wyłapuje i więzi obcych komunistów, a swoim pozwala broić bezkarnie. Czem ona właściwie jest ta biedna Polska, nie można określić jednem słowem. To tylko pewna, że nie jest państwem praworządnem. Bo rozejrzyjmy się w jakiejkolwiek dziedzinie tego dziwotworu—np. w komunikacji. Nie potrzebuję nikogo uczyć, że jest to jedna z najważniejszych sfer działalności państwa, od której zależy jego dobrobyt, kultura, a nawet istnienie. Według najprostszego zrozumienia rzeczy, wszystkie kierownicze stanowiska w kolejnictwie powinny być obsadzone przez inżynierów techników, a na ich czele powinien stać specjalista, doskonale obznajmiony z tą gałęzią pracy i administracji. Tymczasem w naszem ministerjum dróg żelaznych wiele stanowisk, wymagających uzdolnienia technicznego, powierzono sprowadzonym z Galicji prawnikom, a na czele instytucji umieszczono człowieka, który nigdy kolejami się nie zajmował i o ich sprawach, według powszechnej opinji, ma bardzo słabe pojęcie. Tej nominacji bowiem wymagało nie dobro pierwszorzędnej organizacji państwowej, ale interes partji, która w targu o teki ministerjalne przy tworzeniu rządu spółkowego zdobyła to miejsce dla swego przedstawiciela. Trzeba przyznać, że w tym swoim udziale okazała ona nawet pewną względność, bo przecież mogła na stanowisko ministra kolei wydelegować ze swej strony fryzjera lub dentystę, a wybrała inżyniera. Na tem ustępstwie jednak partja nic nie traci, a koleje mało zyskują. Taki bowiem minister nie jest wcale uzdolnionym i niezależnym zarządcą wielkiej instytucji państwowej (120,000 urzędników!) lecz konsulem państewka partyjnego, albo poprostu posterunkowym policjantem swej władzy, obowiązanym wykonywać jej rozkazy i pilnować, ażeby nic się nie działo wbrew jej woli.

Weźmy wypadek odmienny, przypuśćmy, że ministrem kolei jest nie partyjnik, ale specjalista niezależny, dbający tylko o jej prawidłową działalność i o dobro społeczne—cóż wtedy? Przedewszystkiem traci on zupełnie władzę, dotyczącą wszystkich pracowników, połączonych w związki zawodowe. Nie wolno mu ich odprawiać, przesiedlać, zmieniać ich uposażenia. Jeżeli cośkolwiek postanowi bez zgody zwierzchnich instancyj, wywoła bunty i strajki. To samo z większą lub mniejszą samowolą drugiego rządu dzieje się we wszystkich innych dziedzinach administracji. Jeżeli do tego dodamy, że ministrowie posterunkowi zawiadamiają sztaby swych stronnictw o naradach, zamiarach i poufnych postanowieniach rządu, jeżeli uczestniczą w wiecach, na których zapadają uchwały przeciwpaństwowe, to czy taki rząd można nazwać rządem, a także państwo państwem? Czy jakiekolwiek przedsiębiorstwo prywatne mogłoby istnieć i działać prawidłowo, gdyby niektórzy z jego kierowników porozumiewali się z pracownikami przeciw innym kolegom? Czy w takim rozstroju władz utrzymałaby się najzwyklejsza fabryka? A chcemy, żeby się utrzymało i rozwijało wielkie państwo!

Gorszym od złego ładu jest bezład, od złego prawa bezprawie. Polska nie jest państwem bolszewickiem, ale chorem na bolszewizm. Oddajcie jej ster komunistom, a może wkońcu doprowadzi to do lepszego położenia, niż gdy go ciągle wydzierają sobie komuniści z narodowcami. Utrzymywanie obok siebie dwu władz—prawnego rządu i bezprawnych związków zawodowych, jest czemś zgoła głupiem i zabójczem. Albo praworządne państwo, albo federacja sowietów—rad socjalistycznych. Połączenie tych przeciwnych sobie organizacyj jest sprzężeniem baranów z wilkami. Jeżeli państwowcy narodowi nie mogą zwyciężyć rewolucjonistów, niech im oddadzą rządy, a wtedy wreszcie rezultat ich panowania okaże dowodnie, co ono jest warte i może naród pouczony doświadczeniem zdobędzie się na postanowienie i siłę ostatecznego rozbratu z niszczycielami, mającymi pretensję jego zbawców.

Komisja utworzona do przekształcenia administracji pod przewodnictwem prof. Bobrzyńskiego opracowała projekt reformy. Z ogólnikowego sprawozdania nie można dowiedzieć się, czy do niego nie wsunęły się pomysły biurokracji austrjacko-galicyjskiej, tego paraliżu kancelaryjnego, który nas gnębi, niszczy i stał się przedmiotem ogólnego przekleństwa. Jeżeli zaś jest dobry, to wiedząc z doświadczenia, co Sejm wyprawia z najlepszemi projektami, zrodzonemi po za nim i nieszanującemi „zdobyczy społecznych" można spodziewać się, że ten również przeznaczy na makulaturę. Nie mamy więc jeszcze z czego się cieszyć, możemy tylko dalej pragnąć, ażeby ta ciężka, zgniła, zatęchła i miazmatyczna rudera, jaką jest nasza administracja, coprędzej była zburzona, jej próchno doszczętnie spalone, a popiół rozrzucony na cztery wiatry, chociażby się w nim znalazły statuty związków zawodowych i „zdobycze społeczne".

Śród wyłapanych złoczyńców sądy wykrywają coraz częściej byłych „ideowców" rewolucyjnych. Ich metamorfoza odbywa się zwykle tak: z socjalisty powstaje komunista, z komunisty—„dywersant" bolszewicki, z dywersanta—bandyta. Wszelka armja rekrutuje swoich żołnierzy bez sprawdzania moralności, bo jej chodzi głównie nie o jakość, ale o ilość. To samo czyni każda armja rewolucyjna. Ponieważ zaś jej taktyka i cele najbardziej dogadzają charakterom gwałtownym, zdziczałym, z natury występnym, więc chętnie zaciągają się one pod sztandary walki ze społeczeństwem. Z początku są „ideowcami", trzymanymi w karbach partyj, szybko jednak wyłamują się z nich i przedzierzgują się w zwyczajnych zbirów. Partja rzeczywiście ideowa nie tresuje ich i nie popycha na tę drogę, ale też nie usuwa, dopóki są jej pożyteczni i niezupełnie jeszcze rozkiełznani, a pozbywa się dopiero wtedy, gdy się zamienią na jawnych zbirów. Chociaż więc nie jest ona bezpośrednio odpowiedzialna za ich czyny zbrodnicze, jest pośrednio odpowiedzialna za rekrutację swych członków bez probierza moralnego. Nadto zważyć trzeba, że dopóki ten zgniły żywioł przebywa w łonie partji, oddziaływa na jej organizm i pobudza go do czynów napastniczych i wichrzących, mających pozory czystej ideowości. Kto wie, ile temu wpływowi zawdzięczamy strajków, zaburzeń i „zdobyczy społecznych"!

Myśl narodu, strapiona kłopotami miejscowemi, pasuje się ze zmorą polityki zagranicznej—stałem miejscem Polski w Lidze Narodów, którego nam odmawia do współki z Niemcami jeden z największych wrogów—Anglja. Trzeba sobie uprzytomnić i zapamiętać to nowe szachrajstwo dyplomacji, która od wieków tak obrosła niecnotami, jak stare drzewa mchem. A więc rozbójnicze Niemcy, które pogwałciły wszystkie prawa międzynarodowe, zapaliły straszną wojnę, uśmierciły miljony ludzi, zniszczyły całe

kraje, zubożyły całą Europę i wytworzyły w niej zamęt, te Niemcy nietylko są z ukłonami i honorami zapraszane do zajęcia stałego miejsca w Lidze, ale dla ich wygody i zadowolenia odmawia się go Polsce, która od nich i przez nich wycierpiała najwięcej. Doprawdy Polak, widząc co się dzieje zblizka i zdaleka, w kraju i zagranicą, ma prawo spytać: czy warto dziś być uczciwym? Czy nie sięga do nas szydercza rada Krasickiego?

Ten wielki, mądry, kto zdarł, kto oszukał,
I my tak czyńmy, gdy nas losy muszą,
A radzić sobie inaczej nie można.
Kiedy moc, podstęp, świata teraz duszą
I wszystko chytrość posiadła ostrożna;
Kiedy szczęśliwi, co się o złe kuszą,
A w niewinności już nadzieja próżna.
Trudno się teraz odwołać na cuda.
Bądźmy, jak drudzy a wszystko się uda.

Te wiersze powinienby p. Skrzyński przybić na drzwiach Ligi Narodów, gdyby przez chwilę mógł być... niezadowolony.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

OPŁATY UNIWERSYTECKIE DAWNIEJ A DZIŚ

Z DEMAGOGICZNEGO ducha poczęta ustawa o bezpłatnem w Polsce nauczaniu „na wszystkich szczeblach", a więc i w szkołach wyższych — zaczyna już rodzić niepokojące skutki. Jak wszystko, co się lęgnie na podłożu socjalistycznego absurdu — i owa dziwaczna ustawa musiała w życiu doprowadzić do zboczeń potwornych, pomimo połowicznego jej wykonania. Pomiędzy zboczenia takie nie wahamy się zaliczyć swoiście zabarwionego ruchu wśród niektórych odłamów młodzieży akademickiej, polegającego na wysuwaniu postulatów zniesienia opłat uniwersyteckich, a bodaj nawet i zupełnego utrzymywania studentów przez państwo... Energiczną odprawę tym zakusom dała w swej znanej odezwie Młodzież Wszechpolska. Ale, że z elementami socjalizującemi trudno jest wogóle rozmówić się jezykiem interesu narodowego i państwowego, znacznie lepiej rozumieją one natomiast argumenty, związane z doraźnemi interesami materjalnemi—spróbujmy sprawę opłat uniwersyteckich na tym właśnie rozważyć gruncie.

Zobaczmy mianowicie, jak wygląda zestawienie stosunku niezbędnych wydatków na utrzymanie studenta warszawskiego — do opłat uniwersyteckich dziś i przed laty trzydziestu.

Przeciętna norma wydatków studenta wynosi obecnie od 150 do 200 zł. miesięcznie. Licząc, że nagół student w ciągu roku spędza w mieście 10 miesięcy (dwa miesiące wakacyjne albo go nic nie kosztują, albo nawet w ich ciągu zarabia on „na kondycji",) budżet jego całoroczny wynosi 1500 — 2000 złotych. Opłaty zaś uniwersyteckie nie przekraczają 150 zł. Tak więc student oddaje dziś państwu — wzamian za korzystanie z kosztownych klinik, laboratorjów i t. d.—zaledwie dziesiątą część lub nawet mniej ceny swego utrzymania.

Za naszych czasów—przed laty trzydziestu—student wydawał w Warszawie 18 do 20 rubli miesięcznie, t. j. do 200 rb. rocznie. Wpis zaś uniwersytecki (bez różnicy wydziału) wynosił 100 rb. rocznie. A więc opłata za naukę stanowiła wówczas połowę lub nawet więcej sumy, przeznaczonej na utrzymanie!

Gdy zważymy, że obecnie każdy prawdziwie zdolny i wybitny student z łatwością uzyskać może skromne stypendjum (a innym nie warto go dawać!), a jednocześnie zestawimy wysokość dzisiejszych zarobków z korepetycjami dawnemi — wszelkie narzekania na dzisiejsze opłaty uniwersyteckie, a tembardziej czynna na tem tle akcja, wydać się nam muszą tem, czem są istotnie, t. j. demagogicznem mąceniem atmosfery akademickiej.

JAN TUR

QUI-PRO-QUO-VADIS

DEZORJENTACJA krytyki stołecznej po premjerze „Fausta" była wynikiem kilku przyczyn. Recensje premjerowe były w niektórych wypadkach wypływem dorywczej impresji słuchowej. Trudno było ustalić granice między zasługą i winą teatru, a zasługą i winą tłomacza. Węgrzyn w każdem słowie zdradzał karygodną filozoficzną, uczuciową i estetyczną nieświadomość tego, co mówi i czyni. Kolosalne, przez dyrekcję poczynione skróty tekstu tragedji złożono na karb dowolnych skrótów tłumacza. Boy, „studjując dokładnie" (jak pisał) tekst Zegadłowicza, miał na biurku taki właśnie okrojony egzemplarz teatralny. Inni krytycy posługiwali się fragmentami, ogłoszonemi tu i ówdzie w prasie. No i pisze Boy: „Zegadłowicz, skracając wciąż dla potrzeb sceny Goethego"... No i pisze Nowaczyński: „Frywolne tłomaczenie odebrało tekstowi całą powagę myślową". No i pisze Irzykowski: „Ani jednego ze sławnych miejsc nie udało mu się przetłumaczyć w sposób zwarty i jędrny."

Czyż tak można? Czy nie jest to sposób podchodzenia do krytykowanego przedmiotu, mający znamiona... dyletantyzmu? Czyż nie mogła tak szkodliwa powierzchowność zaboleć i oburzyć kogoś, kto uprzednio miał sposobność wczytania się z rozkoszą w piękny przekład? W ten sposób powstaje zamęt, zataczający dalekie kręgi na prowincji, gdzie fejletoniści mają zwyczaj tworzenia swego zdania według „opinji naczelnych recenzentów warszawskich." Nie twierdziłem, iż Boy traktuje niepoważnie swą misję krytyczną (przeciwko czemu zarzeka się energicznie w Nr. 59 „Kurjera Porannego"), twierdziłem tylko i dowiodłem, że tym razem dał się niestety unieść powierzchownemu wrażeniu i sądził o rzeczy, której nie zbadał dostatecznie. Na to nie odpowiedział Boy ani słowem, więc muszę uznać, że mi w duszy rację przyznał.

Przecież Boy swój nowy artykuł p. t. „Dola krytyka" zaczyna od słów, znów dowodzących, jak obca jest mu treść „Fausta": „Faust już oddawna smaży się w piekle." Boy nie wie, że Faust u Goethego nie jest potępiony, lecz... zbawiony.

I tak niekiedy powstaje zmącenie, płynność granicy między powagą a pustotą, robi się galimatias, jakieś przykre Qui-pro-quo-vadis.

Tym razem nurt pewnej kategorji warszawskich metod poniósł i Boy'a, pisarza o takiej rzetelności pracy i sumienności wnikania, co niejednokrotnie miałem sposobność stwierdzić publicznie; powoływanie się na czcigodną opinję Żeromskiego wcale nie było konieczne; nie obejmuje ona przecież faktu pochwalenia przez Boy'a przekładu... Kościelskiego, prawda?

Boy w odpowiedzi swojej plastycznie i przekonywująco przedstawiając przykrą rolę krytyków, nie potrafił ominąć wycieczek osobistych, obruszył się też na mój zarzut, iż wyrządził krzywdę poecie (ale zarzutu nie obalił) i stwierdził, że sam jest poetą, a że nim jest, to dowiódł choćby „Słówkami". Oczywiście i Villona i Verlaine'a tłumaczył jako poeta. Ja twierdziłem tylko, że Boy w charakterze swego znakomitego talentu jest ideałem tłumacza — literata (dodając: „który może i wiersze pięknie przekładać...") czyli „umysłowością ścisłą, precyzyjną, aż do genjalno-

ści...“ i t. d., a nie tłumacza — poety, działającego w innej płaszczyźnie, którą określiłem. Każda klasyfikacja typów musi mieć przecież z natury rzeczy elastyczne granice, szczególnie w tak niepochwytnej materji; można więc tylko twierdzić, że u kogoś przeważają typowe pierwiastki takie lub inne, a tylko zła wola może insynuować chęć „odmawiania Boyowi nazwy poety“ generaliter. Jeśli zaś niedość jasno to określiłem, to wbrew panującym u nas zwyczajom rzecz prostuję.

A w końcu ta uwaga: dlaczego u nas w polemikach zawsze na czoło wysuwają się insunuacje, pomawiania o *arrieres pensées*, o inspiracje, konspiracje, i t. p.? Dlaczego nigdy się nie przypuści, że ktoś coś robi bezinteresownie, szczerze, jedynie w obronie gwałconej wkoło nas co dnia i co godziny — prawdy poezji, której trzeba strzec!?

WITOLD HULEWICZ

JESZCZE O „ŻYDOWSKOŚCI“ RZYMU

ZABÓR starożytnego Rzymu na rzecz żydowstwa, (por. art. „Ad rem“—Myśl Nar. № 9) jest tak znamienny i tak... śmiały, że sprawie tej warto poświęcić jeszcze kilka uwag dodatkowych. Na szczęście zachowały się jeszcze po dziś dzień zabytki klasycznej literatury rzymskiej, które po kilkunastu wiekach przemawiają w tej sprawie i żywiej i piękniej, niż wszelkie wywiady „Naszego Przeglądu“ z osobami, nie mającemi pojęcia o historji.

Z tych nieśmiertelnych dokumentów okazuje się, że nietylko Żydom nie przyznawano prawa supremacji nad Rzymem, ale naodwrót zgoła ich lekceważono, a gdy się zanadto panoszyli, wyganiano bez ceremonji z Rzymu. Co więcej, wszyscy wielcy pisarze rzymscy byli zdecydowanymi antysemitami. Poprzestanę na nazwiskach najsłynniejszych. Największy po wszystkie wieki mistrz wymowy, Marek Cycero, z odrazą wspomina „burzliwy tłum żydowski“ *(Oratio pro Flacco)*, który już w starożytności urządzał hałasy podobne do niedawnego zajścia w Teatrze Bogusławskiego; piętnuje też nieraz ich kłamstwa i szalbierstwa. W jednym z najgłośniejszych skandali kryminalnych starożytności — w defraudacjach, gwałtach, rozbojach i świętokradztwach, dokonanych na Sycylji przez Werresa, poważną rolę odegrał Żyd Cecyljusz Niger; Cycero gromiąc tę szuję w przepysznych *Orationes Verrinae*, mówi, że była to spółka Żyda z... wieprzem *(verres)*: *„Quid Iudaeo cum Verre!“*

Jeszcze dosadniej wstręt swój do Żydów określa największy historyk starożytności, genjalny Tacyt *(Historiae V)*, wspominając przedewszystkiem o ich niechlujstwie, które sprowadziło na Egipt obrzydliwą zarazę *(tabes)* następnie o przewrotności *(pravitas)* i zaciekłej nienawiści *(hostile odium)* do innych narodów, a wreszcie o perwersji erotycznej (*proiectissima ad libidinem gens)*. Współczesny Tacytowi, świetny satyryk Marjalis skarży się też na... *foetor Iudaicus*; że do dziś dnia rasowa ta cecha nie zanikła, można się przekonać na Nalewkach...

Nie pozostał dłużny Żydom stały wróg lichwiarzy (zwłaszcza kaprawych) — największy satyryk i liryk rzymski, Horacy. Wspomnę tylko, z jaką uciechą wspomina on o tem (IX satyra księgi pierwszej), że to dziś szabas i można *curtis Iudaeis oppedere* — puścić... fimfę w nos obrzezanym Żydom!... I pomyśleć sobie, że byli tacy uczeni w piśmie, którzy chcieli gwałtem obrzezać tego czystej krwi aryjskiego poetę i zrobić z niego — Żyda! (tak jak ostatnio chcą zrobić z Montaignem!). Na takie wywody nie pozostaje nic innego, jak odpowiedzieć słowami samego Horacjusza: *„Credat Iudaeus Apella, non ego!“*—niech sobie w to wierzy Żyd Apfel, lecz ja nie uwierzę!

JÓZEF BIRKENMAJER

PRZEGLĄD POLITYCZNY

W Genewie i w Paryżu. — Dymisja rządu francuskiego. — O stałe miejsce w Radzie Ligi. — „Kompromis“ czy klęska?

NIEPEWNOŚĆ, przykra, niepokojąca niepewność — oto pierwsze wrażenie, jakie odczuwa się, czytając sprawozdania prasowe z przebiegu zmagań genewskich, zapasów, na pierwszy rzut oka robiących wrażenie turnieju pustej frazeologji, w rzeczywistości zaś, pod jej osłoną, będących starciem się bardzo realnych sił, współzawodnictwom bardzo realnych interesów. Walka, jaka się toczy w Genewie o przyznanie Polsce stałego miejsce w Radzie Ligi Narodów, to w istocie walka o nasze stanowisko mocarstwowe w Europie, o całkowitą niezależność polityki polskiej wobec Niemiec, może nawet o przyszłe bezpieczeństwo naszych granic. Wynik jej musi zaważyć bardzo znacznie i na całej dalszej polityce Polski i na całym także przyszłym rozwoju Ligi Narodów. Jak w tej chwili przedstawia się w Genewie układ sił i jak określić obecne możliwości i nadzieje?

Położenie, i tak skomplikowane, zagmatwało się jeszcze wskutek nieoczekiwanej dymisji rządu francuskiego. Rząd p. Brianda ustąpił wobec uchwalenia przez parlament (większością 274 głosów przeciwko 221) wyłączenia z projektu reformy finansowej podatku od rachunków, wbrew opinji gabinetu, który tę sprawę postawił jako kwestję zaufania. Jak określa *„Temps“*, ustąpienie rządu jest wynikiem niezdrowej psychiki obecnego parlamentu, „który nie chce uchwalić podwyższenia podatków, zrobiwszy uprzednio wszystko, ażeby to podwyższenie uczynić niezbędnem.“ Dotychczas rząd p. Brianda, w znacznej większości lewicowy i wpływom lewicowym ulegający, w sprawach skarbowych, gdy lewica ze względów demagogicznych odmawiała mu poparcia, podtrzymywany był w imię interesów państwowych przez ugrupowania prawicowe. Obecnie wszakże, właśnie w przededniu zjazdu w Genewie, prawicowa *„Union Republicaine Democratique“*, niejednokrotnie przeciwstawiająca się zbytniej ustępliwości rządu wobec Niemiec, obaliła gabinet, głosując przeciw niemu razem z socjalistami i komunistami. Pierwszym wynikiem kryzysu francuskiego jest odłożenie decyzyj genewskich na kilka dni. Czy wywrze on jakiś dalszy wpływ na rozwój wypadków w Lidze Narodów, trudno przewidzieć.

W każdym rązie, jak dotąd, położenie przedstawia się w ten sposób, że państwa, popierające żądanie Polski, przedewstkiem Francja i Włochy, nie ustąpiły bynajmniej z zajętego w tej sprawie stanowiska. Nie ustępują również państwa, z mniejszą lub większą stanowczością opowiadające się po stronie poglądu niemieckiego. Propaganda niemiecka zaś czyni ogromne wysiłki, aby wytwarzać nastroje rzekomo „kompromisowe“, szerząc pogłoski o rozmaitych projektach porozumienia, opartych zawsze na... odmówieniu Polsce stałego miejsca w Radzie Ligi.

To też źle jest, jeśli ulegając takim nastrojom, niektórzy polscy korespondenci czy publicyści nazywają kompromisem np. projekt udzielenia Polsce niestałego miejsca w Radzie. Takie rozwiązanie sprawy byłoby nie „kompromisem“, ale całkowitą klęską Polski, klęską tem boleśniejszą, że na przyszłość—w myśl statutu Ligi—otrzymanie stałego miejsca uzależnione byłoby od przyzwolenia Niemiec, czyli, w obecnych warunkach, całkowicie właściwie uniemożliwione. Chwila dzisiejsza nadarza wyjątkową sposobność dla Polski, sposobność, która się w przyszłości nie powtórzy. Układ stosunków jest dziś dla nas szczególnie pomyślny. Jeśli jednak, mimo wszystko, ponieślibyśmy klęskę, wówczas winniśmy śmiało

spojrzeć prawdzie w oczy i do zmienionych warunków dostosować całą naszą dalszą politykę. Rzeczą niegodną byłoby chcieć ukrywać prawdę dla małostkowych względów wewnętrzno - politycznej czy nawet czysto osobistej taktyki.

IGN.

NAUKA I LITERATURA

NIEZNANY KOMENTARZ MICKIEWICZA DO „KONRADA WALLENRODA"

PODAJĘ tu jedno z żywych słów Adama Mickiewicza, przypadkiem zanotowanych, a dotąd jeszcze nie ogłoszonych. A zasługuje ono na to, nietylko jako pamiątka ale i jako przyczynek do wyświetlenia pewnych jego poglądów. Mianowicie w posiadaniu Zakładu Narodowego im. Ossolińskich znajduje się jeden tom rękopisu pamiętników Henryki Ankwiczówny. Pochodzi on z lat późniejszych (1850 — 55) i wypełniony jest głównie spowiedziami z kłopotów finansowych, spowodowanych lekkomyślnem i marnotrawnem życiem tej tak idealnie niegdyś prezentującej się Mickiewiczowi Ewy. Wśród tych prozaicznych wynurzeń, pod datą 1 grudnia 1850 roku notuje ówczesna pani Kuczkowska następujące, słyszane niegdyś, słowa Adama Mickiewicza:

„O, zaczynam wierzyć, com w młodości mojej przed laty — w 1830 roku w Rzymie — słyszała z ust wielkiego naszego wieszcza, Adama Mickiewicza:

Długa niewola, ciężkie jarzmo obce, narzucone jakiej narodowości, nietylko są strasznym ogromem nieszczęścia, mieszczącego się w słowie n i e w o l a, lecz jeszcze tem straszniejszy ich skutek, że, gdy długo trwają — upadlają naród cały — odbierają mu cechy szlachetności — czynią go złośliwym, brudnym, chciwym, materjalnym — zawistnym. I w tym wpływie szukać tylko trzeba— mawiał nasz Bard Litewski — piętna sromotnego namiętności, które stały się jakby drugą naturą Żydów, Greków — nawet poniekąd Włochów. Żałujmy ich! powtarzał, ale nie potępiajmy, bo, kto wie, czy się już wkrótce nie staniemy podobnymi, jeśli nas Bóg miłosierny nie wybawi" (8 str. rękopisu).

Nasuwa się pytanie, przy jakiej sposobności mógł Mickiewicz rozmawiać o tem z Ankwiczówną? Zdanie poety o deprawującym wpływie niewoli możemy uważać za komentarz do utworu p. t. „Do Matki Polki", a głównie tej strofy, gdzie poeta kreśli duchową fizjognomję nowego pokolenia, wzrastającego w zatrutej niewolą atmosferze:

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem
I być jak otchłań w myśli niedościgły...

Utwór ten wkrótce po napisaniu wręczył poeta Ankwiczównie, skąd prosty wniosek, że przy tej właśnie sposobności mógł wypowiedzieć owe, przez nią zanotowane, słowa. Wiadomo zaś, że wiersz p. t. „Do Matki Polki" jest wyrazem powrotnej fali Wallenrodyzmu, wywołanej, między innemi, jak przypuszcza prof. Kallenbach, wiadomością o pierwszych zgonach towarzyszów z celi bazyljańskiej. Ta okoliczność pozwala nam w zanotowanym przez Ankwiczównę urywku widzieć równocześnie własny komentarz poety do „Wallenroda". Poeta nie apoteozuje w tym poemacie zdrady, ale też jej nie potępia, widząc w niej konieczny produkt niewoli. Nie mógł zresztą sądzić inaczej autor „Drogi do Rosji", w której wykazał tyle zmysłu socjologicznego, ukazując nam duszę rosyjską na tle przyrody i klimatu. Mamy na to jeszcze inne dowody, że Mickiewicz nigdy nie wyparł się idei Wallenroda, jako uznania konieczności dziejowych, dyktowanych warunkami miejsca i czasu. Mianowicie w wykładach paryskich, unosząc się nad głębią „Nieboskiej" Krasińskiego, pomija równocześnie milczeniem „Irydjona". Filozofja tego poematu, która drogą dedukcji z mglisto pojmowanych dziejów chrześcijaństwa dochodziła do abnegacji przyrodzonych praw rozwoju, nie mogła przekonać Mickiewicza, który miał głębokie zrozumienie dziejowych konieczności i nie poświęcał życia doktrynie.

HENRYK ŻYCZYŃSKI

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Pięknym hołdem olbrzymiej zasłudze, jaką ma wobec nauki polskiej prof. Oswald Balzer, jest ofiarowana mu dnia 8 b. m. „Księga Pamiątkowa", dwutomowe, około 1500 stron liczące dzieło, zawiejące nadesłane specjalnie rozprawy i artykuły szeregu najwybitniejszych uczonych polskich i zagranicznych. Główne zasługi około wydania „Księgi" położyli: dawny uczeń prof. Balzera, znakomity autor „Prawa prywatnego polskiego", prof. Przemysław Dąbkowski, oraz długoletni współpracownik prof. Balzera, dr. Bol. Orzechowicz. Z historyków prawa polskiego zamieścili, między innymi, swe prace: Abraham, Dąbkowski, Halban, Kutrzeba, Rafacz, z prawników Cybichowski, Starzyński, z historyków Skałkowski, Szelągowski, Dembiński, Tymieniecki, Semkowicz. Z zagranicy nadesłali rozprawy: Kadlec i Kapras (po czesku), Mamravić i Jelacić (po chorwacku), Bobczew (po bułgarsku), Taranowski (po rosyjsku), Winogradow (po angiesku) i znany slawista holenderski van Wijk (po polsku). Ogółem zamieszczono prace 68 uczonych polskich i 8 zagranicznych. Wydawnictwo, niezwykle staranne pod względem typograficznym, ozdobiono portretem i 70 rycinami.

*

Różnie oceniana bywała działalność Wincentego L u t o s ł a w s k i e g o w kierunku ustalenia zasad filozofji narodowej na podstawie ideałów Platona, wykładów o literaturze słowiańskiej Mickiewicza, idej „Króla Ducha" Słowackiego i pedagogicznych systemów Trentowskiego (którego zresztą w ostatnim czasie Lutosławski wyparł się i zredukował). O ile jednak angielskie studjum o Platonie, które przed trzydziestu laty poprzedziło wykłady Lutosławskiego w uniwersytecie jagiellońskim, wykazywało dążność do bliższej styczności z filozofją ścisłą, o tyle wydana obecnie nakładem M. Arcta, „Nieśmiertelność duszy— zarys metafizyki polskiej", mimo wielkiej erudycji autora, nie zawsze może być traktowana w spoób całkiem poważny. Obok naciągniętych cytat teologów, szczególnie osobliwe wrażenie sprawiają opowiadanka o tułaczce duchów po opuszczonych domostwach. Zarys tej oryginalnej metafizyki czyta się lekko, z zainteresowaniem, choć, rzecz prosta, bez głębszego pożytku.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

We współczesnej powieści francuskiej na specjalną uwagę zasługuje bogata literatura kolonjalna, odmalowująca środowisko i nastroje krajów egzotycznych ich religję i obyczaje. W ostatnich czasach, z powodu wojny w Maroku, oraz powstania Druzów w Syrji, cały szereg pisarzy zajął się opisywaniem życia kolonjalnego. Wśród licznych utworów z tej dziedziny wyróżnia się książka p. Louis B e r t r a n d, członka Akademji Francuskiej, *„Devant l'Islam". (Plon Edit.)*. Zagadnienie religji jest dla Muzułmanów zagadnieniem pierwszorzędnej wagi, p. Bertrand zaś zna na wylot duszę muzułmańską. Książka tego znawcy afrykańskiego świata jest nawoływaniem do czujności: kolonje bowiem są źródłem bogactw dla metropoli, ale mogą stać się źródłem niepokoju, skoro hasła nacjonalistyczne są tam eksploatowane przez niebezpieczną propagandę komunistyczną.

*

Czytelnik, który chce zapoznać się szczegółowo nietylko z całym kierunkiem współczesnej literatury kolonjalnej, ale także z jej początkami i jej rozwojem, znajdzie pod tym względem wszelkie dane w świeżo wydanej książeczce Braci L e b l o n d p. t. *Le Roman Colonial" (Collection Critique—Vald. Rasmussen)*. Marius-Ary Leblond słusznie przeciwstawiają egzotyzmowi utworów Loti'ego— obecną powieść kolonjalną. Dla Loti'ego bowiem egzotyzm służył przedewszystkiem za dekorację i stanowił ramy, a nie istotę powieści, malującej przedewszystkiem przeżycia i wrażenia samego autora. Dzisiejsi pisarze, przeciwnie, wprowadzają do literatury życie kolonji, jako takie, pogłębiając zasadnicze zagadnienia rasy i religji, a zatem traktują swe tematy przedewstkiem z punktu widzenia objektywnego. Bracia Leblond podają obraz dzisiejszej literatury kolonjalnej, oparty na bogatej bibljografji, dzięki której czytelnik może zapoznać się z życiem każdej poszczególnej kolonji francuskiej.

ERRATA: Do cyklu wierszy p. I. K. Iłłakowicz w numerze 10 „Myśli Narodowej" wkradły się następujące błędy drukarskie:
1. W utworze „Z a l a n a ł ą k a": słowo „żelazem" winno być wszędzie zastąpione słowem „żalem".
2. W utworze „R z e k a":
a) Wiersz 1-y od góry winno być „mię", zamiast „się";
b) wiersz 3-ci od góry: winno być „płynny", zamiast „płynący";
c) wiersz 7-y od góry: winno być „pomne," zamiast „puszcze".

TEATR

„RÓŻA" ŻEROMSKIEGO

PRZEZ scenę teatru im. Bogusławskiego zajrzała do naszych czasów niedawna, z przed 20 lat przeszłość. Zajrzała przerzucona z Rosji na teren Kongresówki „rewolucja" z romantycznem obliczem jej polskich wyznawców. Niedawne to czasy, a jednak młode pokolenie wielu rzeczy dramatu Żeromskiego dziś już nie pojmuje, a zwłaszcza nastroju poetyckiego, który się od tego mętnego zdarzenia historycznego udzielał uczestnikowi i poecie.

Był to ostatni epizod walk porozbiorowych z zaborcą wschodnim: 1794 — 1830 — 1863 — 1905. Co trzydzieści kilka lat, w okresach, jakich było potrzeba, aby zatarła się w bezpośredniej pamięci klęska jedna, następowała nowa, coraz lekkomyślniej wywoływana. A im mniej realny i uświadomiony był czyn, tem romantyczniejszy stawał się pogłos jego w literaturze. Ta coraz mniej zdawała sobie sprawy z tego, że celem walki ma być zwycięstwo. Każde nowe pokolenie z coraz większą pogardą celów i środków imało za broń, jakby zadaniem jego było rywalizować z ojcami o minorowy ton lutni w pieśni martyrologicznej. Poezja klęski i cierpienia poczęła stawać się zasadniczym motywem życia umysłowego inteligencji polskiej, coraz bardziej wrogim realnemu myśleniu o przyszłości narodu. Musiał wreszcie ten motyw przeradzać się w styl dekoracyjny, pokrywający zwątpienie i skrajny pesymizm. Ponieważ życie nie znosi pustki, więc miejsce po twórczym czynie polskim zajęły inne ideały: czynu klasowego, ludzkiego wogóle. Motyw polski znalazł się w dekoracji, w pretekście, dusze zaś, szukające życia, porywał prąd uboczny, usiłujący wytworzyć nowe łożysko dla „wiernej rzeki". Żeromski znalazł się w potoku, odprowadzonym na młyn socjalizmu, gdzie firmie tylko jedna literka dawała styl polski — P.P.S. — polska partja socjalistyczna. Z realnego celu niepodległości Polski zrobiono tam symbol ideowy wolności.

Stefan Żeromski, wielkiej miary artysta, był poetą tego rozdarcia duszy polskiej na sen i jawę. Unosiła go w młodości fala tradycji powstańczej w tej formie, jak mu ją przekazało dziedzictwo rodzinne; w pewnem miejscu spłynął ubocznie ciągle w tem mniemaniu, że niesie go wierna rzeka. Tak mu wmówiono, tak mu wmówiła wiara jego czasu w hasło: z żywymi trzeba naprzód iść. Stylizowanie pojęcia w sposób martyrologiczny, jako grobowca, któremu zresztą wolno oddawać cześć i miłość synowską, było bardzo na rękę tym, którzy chcieli przekonać, że nowe życie płynie obok i do tego samego celu prowadzi: do wolności wszystkich, a więc i do wyzwolenia narodu. Stąd połączenie dwóch sprzecznych kierunków w jednej duszy, połączenie duszę rozdzierające. Ta okoliczność życia dała Żeromskiemu możność poznać duszę Czarowiców. Siłą woli artystycznej, acz sam obarczony duchem środowiska, wzniósł się na wyżyny możliwej przedmiotowości i dał nam w „Róży" studjum psychologiczne zwyrodnienia duszy, oderwanej doktrynami od życia, karmiącej się symbolem literackim. Ponieważ w Polsce typ ten zdarzył się na wysokim poziomie uczuciowości patrjotycznej i dobrej wiary, więc i dramat wynikł głęboki. Musiał się skończyć samobójstwem wprowadzonej w błąd oszustwem politycznem jednostki.

Co się działo w duszy takiego Czarowica, bohatera dramatu? Widzieliśmy w sztuce Żeromskiego, co się działo w łonie socjalistycznej masy ludowej, wciągniętej do rewolucji hasłami chleba i nienawiści. Jak brutalnie wystąpiła tam sprzeczność dążeń z owym doczepionym stylem jakichś pozorów ideału narodowego. W scenie wiecu fabrycznego stanęły przeciw sobie dwa obozy, skłócone o to, czy robotnicy mają dążyć do oderwania terenów polskich od Rosji (P.P.S. niepodległościowcy, Piłsudski), czy też dążyć do tego, aby rzeczone tereny przy Rosji zostały, bo lepsze będą wtedy zarobki (proletarjat, program Róży Luxemburg). Wyjęto rewolwery, miała się polać krew o doktrynę, nie o Polskę. Równa odległość do zdrady, jak do Polski. Wtedy wpada na zwaśnionych Czarowic ze swoim ideałem syntetycznym, którym mu pozwolono się łudzić:

— Niech żyje Polska niepodległa! Przekazała wam to prawo wielka dusza Mickiewicza i wielka dusza Słowackiego!

Gdyby nie poeci, to prawo niepodległości byłoby Polakom obce? — pytamy słuchając. A robotnicy jednomyślnie odpowiadają Czarowicowi:

— Nie rozumiemy, o czem gadasz. Precz!

Musimy ich rozgrzeszyć, bo i Czarowic nie rozumie, co gada. Czarowic jest unicestwiony wewnętrznie sprzecznością. Ta walka śród robotników panuje w nim samym. Czarowic to już nie Kordjan (po 1830 r.), cierpiący na wahanie; ten Kordjan r. 1905 ma już myśl nieżywą, bezprzedmiotową, zneutralizowaną rzeczowo. Pali mu się w głowie styl jakiegoś czynu, po literacku. Miał zbawiać naród, ale się przekonywa, że on i naród to dwa byty, siebie nie przenikające. Nie tylko z robotnikami ciemnymi, z nikim się nie rozumie, z rodzonym bratem.

Będzie walczył do końca, bo jest rasowy, dla miłości samej walki, dopóki nie zgorzeje we własnym ogniu. Taka już jego natura. Ale nie widzi, dla kogoby walczył, z czyjego mandatu, dla jakiego celu. Dla niepodległości własnej duszy będzie walczył. Już nie o walce masowej mówi, ale o „pojedynku". Szuka zresztą śmierci, bo życie jest bez treści.

Tak wyobcował się z życia realnego, że ono mniej konkretne było dla niego, niż poetycka koncepcja, jakiegoś szańca „na wysokości wolnego polskiego ducha." Zwątpił i o partji swojej i o narodzie. Poznał, że „nie jest i nie będzie nigdy złączony ani z temi zbiorowiskami ludzi, ani z żadną na tej ziemi jednostką". „Zawiódł się na sile w s z e l k i c h p o l s k i c h p r a w d, na wartości prądów... Nie mógł dostrzec żadnego spoidła, któreby plemię polskie zjednoczyć mogło. Jedyne, ostatnie i niewątpliwe, które jak ściany mogłoby ten naród w jedno zegnać i materjalnemi środkami zjednoczyć — państwo niepodległe — z o s t a ł o o d r z u c o n e p r z e z w s z y s t k i c h r o d a k ó w".

Tak sobie Czarowic wyobrażał, zagnany w symbole walki i niepodległości daleko od prawdy życia. Jakżeby się zdziwił, gdyby dożył wojny i r. 1918, na widok Polski niepodległej! Skąd się ona wzięła, skoro nikt jej nie pragnął? Gdyby nie był szlachetny, ale z tego gatunku był, co jego towarzysze, którzy dożyli Polski, toby może nie dawał wiary faktom, albo starał się je pomniejszyć, albo znienawidził tych, którzy mu światopogląd popsuli. Znienawidziłby tych, którzy odłączyli Polskę od Rosji, lub tych, którzy się przyłączyli od Niemiec, bo robienie przeciwko Niemcom nie leżało w niczyich planach, jednem słowem przyjąłby niepodległość, a zwłaszcza zjednoczenie, kwaśno.

To jest uderzające, jak szczęśliwie udawało się Niemcom w całym cyklu stulecia walk, że polska wyobraźnia powstańcza nie zapłonęła na serjo nigdy ideą skierowania walki w ich stronę. Potrafili wytworzyć, jak na ziemi są działy wód, taki dział powietrza, że wszystek ogień na wschód się kierował. I to jest rys znamienny „Róży" także. Czarowic wśród tylu rozmyślań nie zbłądził w tamtą stronę.

Kulminacyjnym punktem dramatu Czarowica, jest ta chwila, kiedy jasno zdał sobie sprawę, że jest bankrutem, że wszystko, co zrobi, będzie tylko improwizacją jego osobistą bez żadnego związku prometejskiego z życiem, a więc chwila śmierci jego twórczości społecznej. Wszystko, co potem w sztuce się dzieje, jest tylko jaskrawą ilustracją tego faktu, nie pogłębiającą naszego wzruszenia. Jego czyn końcowy, czysto mechaniczny, polegający na zużytkowaniu czyjegoś wynalazku w celu spalenia armji rosyjskiej, zatrudnionej na manewrze, ten akt osobistej już zemsty bez podłoża psychicznego walki narodowej, a nawet śmierć fizyczna jego samego nie mogą budzić głębszego zainteresowania. Są to już pomysły studenckie, ilustrujące zwyrodnienie myśli politycznej do kresu zaiste rekordowego.

„Róża" jest dramatem historycznym i w tem jej wartość. Wyjaśnia nam naturę psychologiczną tej strasznej kolizji, której byliśmy świadkami, między chorą wyobraźnią pewnych sfer a prawdą życia. Do tego stopnia dramat historyczny, że trzeba było dalszego rozwoju zdarzeń dziejowych, aby dramatyczność tej kolizji się uwydatniła w całej pełni. „Róża" w dzień swego powstania (1908) była mniej zrozumiała, niż teraz, kiedy już życie pouczyło, o ile więcej było w rzeczywistości twórcze i poetyczniejsze od palącej się w głowie doktryny, która nie pozwalała ofiarom nawet dostrzec, co w środowisku się dzieje.

Sens dramatu Czarowica jest ten, że życiu twórczemu potrzebny jest żywy, nie wstydzący się instynktów, pełny człowiek, związany ze środowiskiem wspólną wolą istnienia. Czarowic był ofiarą kombinacji politycznej, która bezlitośnie zwyrodniałość romantyczną, zakiśniętą w pewnych odłamach inteligencji polskiej, postanowiła zużytkować do stylizowania socjalizmu, mającego sprzeczny z założeniem polskiej twórczości kierunek. Potrzebne to było na to, aby Polakowi odebrać resztę poczytalności dziejowej, iżby w końcu sam siebie, jak Czarowic, nie mógł odnaleźć. „Róża" jest dramatem myśli polskiej, zwyrodniałej w niewoli, dramatem niewolnika, któremu zamiast wyzwolenia uśmiecha się już zemsta tylko.

Żeromski myślą artystyczną przeniknął ten dramat i dał go nam poznać w całej jaskrawości. Dzieło jego jest dokumentem historycznym z pierwszej ręki. Jest też niepoślednim dziełem sztuki. Teatr im. Bogusławskiego umiejętnie ten niesceniczny, powieściowo traktowany w książce utwór do sceny przysposobił. Sposób wystawienia bez realistycznych dekoracyj trafnie pomyślano. Czarowica grał słynny aktor Adwentowicz, jego kochankę nie mniej rutynowana Irena Solska. Na odpowiedniej wyżynie stał cały zespół, uwydatniając piękno prozy.

„Róża" pomimo wszystko nie będzie sztuką popularną — zbyt niedostępne dla ludzi zdrowych zagadnienie jest jej tematem. Nie powinno się zresztą zbyt długo wpatrywać w ten smutny zaułek duszy polskiej. Czarowic nie zginął cały, odrodził się po wojnie w Przełęckim, któremu także „uciekła przepióreczka w proso".

Przełęcki będzie, jak Czarowic, szukał maszyny. Do walki potrzebna była piekielna, do pracy pozytywnej— anielska, ale zawsze maszyna. Będzie ją upatrywał w postaci szkoły. Ale nie potrafi powiedzieć, czem będzie zapładniał dusze ludzkie przy pomocy tej maszyny. Kiedy go uczeń zapyta: Co trzeba robić, jak ma postępować człowiek prawy? — wtedy odpowie jak Czarowic:

— Tego ja nie wiem, braciszkowie moi. Sami szukajcie drogi swojej.

Stracił bowiem wiedzę dobra i zła. Żyje dalej symbolami i hasłami i w Polsce niepodległej, która skądś się wzięła, a drżeć będzie ciągle z zimna pesymizmu w oczekiwaniu nieokreślonego przedwiośnia. Z. W.

NA MARGINESIE

„Wiadomości Literackie", chcąc pognębić w polemice jednego z niemiłych sobie pisarzy, przypomniały mu w ostatnim numerze, iż „za umieszczenie swojej fotografji i napisanej przez siebie reklamy wieczoru przekładów... pewną sumę przed dwoma laty w administracji „Wiadomości" zapłacił". W pierwszej chwili sądziliśmy, iż chodzi tu o zwykłą reklamę w dziale ogłoszeń. Przeszukanie jednak rocznika „Wiadomości" okazało, iż ów, jak stwierdzono, płatny, reklamowy artykuł, zamieszczony był (nr. z dn. 13 kwietnia 1924 r.) w samym środku działu redakcyjnego, ozdobiony dwiema fotografjami, niczem absolutnie z pośród otaczających krytyk i sprawozdań nie wyróżniony. Któż mógł był przypuścić, jaka finansowo-handlowa tajemnica kryła się pod tym, zdawało się, bezinteresownym entuzjazmem redakcji przy ocenie poetyckiego dorobku pisarza!

Zbyt poważnie traktowaliśmy dotychczas „Wiadomości Literackie", polemizując w dobrej wierze na temat wartości i zasług reklamowanych w tem przedsiębiorstwie autorów. Superlatywy w płatnych ogłoszeniach są przyjętym zwyczajem i nikt nie usiłuje wykazywać ich przesady czy nieścisłości. Stwierdzenie, iż powodem umieszczenia artykułu literackiego może być „pewna suma, zapłacona w administracji", urywa automatycznie wszelką dyskusję. Ostatecznie twierdzenie „Wiadomości", że jakiś p. S. lub p. T. „jest n a j w i ę k s z y m poetą polskim młodszego pokolenia" tę samą akurat posiada wartość, co informacja, zawarta w ogłoszeniu dziennika, że np. „Josek W. na Gęsiej n a j t a n i e j sprzedaje pierze i puch w n a j l e p s z y m gatunku"...

*

„Nowy Kurjer Polski" (nr. 33) zamieścił pod dwuszpaltowym tytułem obszerne, około stu wierszy liczące sprawozdanie z premjery hebrajskiego przekładu „Dybuka" w hebrajskim teatrze „Habima" w Warszawie. Autor recenzji niezmiernie wysoko podnosi wartość sztuki, rozwodząc się nad „świetną" grą aktorów („pp. Itkin, Frutin, Czeremińskaja, Cemach i inni") tudzież nad pięknem hebrajskiego przekładu, który „na scenie „Habimy" zatracił sztywność i nudną powagę języków klasycznych" (łaciny Cycerona i Horacego?? greki Homera??).

Prasa polska nie zamieszcza recenzyj z teatrów hebrajskich: brak jej odpowiednio wykwalifikowanych recenzentów, a zresztą wskutek małego rozpowszechnienia wśród Polaków znajomości języka hebrajskiego, sprawozdania takie nie byłyby dla jej czytelników interesujące. Ale redaktor „Nowego Kurjera Polskiego", p. Ignacy Rosner, musi chyba wiedzieć, z jakich sfer rekrutują się czytelnicy j e g o pisma, musi znać ich potrzeby duchowe, ich zainteresowania...

Radjo w Polsce

Świętem narodowem wszędzie na Zachodzie jest otwarcie nowej radjostacji. Przeglądając uważnie prasę zagraniczną, łatwo zobaczymy z jakim nastrojem uroczystym związany jest każdy taki fakt, jak liczny udział w takiem święcie biorą sfery rządowe, parlamentarne, naukowe, artystyczne, gospodarcze, dziennikarskie. Niema w tem nic dziwnego. Radjo jest nowym żywiołem, który w zawrotnie szybkim tempie przeobraża świat. Jakgdyby potężnym rzutem podnosi kulturę każdego kraju: zbliża państwa i narody, zmienia charakter emocji — grunt, z którego wyrastają twory ducha, chwyta i analizuje dzwięki głębin morskich, odkrywając ich trudno dostępne tajemnice, unicestwia przeszkody, stawiane przez odległość, przestrzeń i kierunek; do głuchej prowincji wnosi codziennie całe nerwowe tętno centrów wielkomiejskich całego świata i t. d. i t. d. Czyni to wszystko kosztem śmiesznie małym. Jeden z zapalonych radjoamatorów warszawskich zbudował niedawno aparat, którego koszt wyniósł groszy pięćdziesiąt — wyraźnie i dosłownie: groszy pięćdziesiąt.

Stąd ten wielki entuzjazm radjowy, który ogarnął wszystkie kraje, przeniknął do warstw najuboższych, przewyższył wszystkie inne kategorje ciekawości, pogoni za istotną, pożyteczną sensacją. Prasa zachodnio-europejska wrażliwa na nastroje swoich czytelników, umiała przystosować się do tej nowej potrzeby szerokich mas swoich odbiorców. Każde pismo europejskie na łamach swoich wiele uwagi i miejsca poświęca codziennie radjowości.

Wspominamy o tem dlatego, że codzienna prasa warszawska pod tym względem nie idzie śladami zachodnio-europejskiej. Radjowcy polscy skarżą się na głuchą obojętność, jaką w prasie warszawskiej napotyka radjo. Na usprawiedliwienie tego stanowiska przytoczyć można fakt, że Polska posiada jedną zaledwie i to słabą, półkilowatową stację, której wpływ, znaczenie i uroki atrakcyjne są minimalne. Usprawiedliwienie to jest słuszne, ale tylko częściowo.

Od paru tygodni społeczeństwo polskie wie, że wyrosła w Warszawie wielka, na mocnych podstawach oparta instytucja, której zadaniem będzie rozbudowa—w najbliższym kontakcie z czynnikami rządowemi — radjowości polskiej. Pierwszym krokiem tej instytucji jest dokonywująca się obecnie w tempie przyśpieszonem budowa nowej, silnej, 6-kilowatowej stacji nadawczej w Warszawie. Otwarcie nastąpić ma jeszcze w miesiącu bieżącym. Za parę tygodni produkcje polskie słyszane będą w Europie i przenoszone jeszcze dalej. W planach wspomnianej instytucji („Tow. Polskie Radjo"), posiadających charakter zobowiązań koncesyjnych, leży uruchomienie na jesieni potężnej, jednej z najsilniejszych w Europie, 50-kilowatowej stacji nadawczej i budowa szeregu stacyj w większych miastach prowincjonalnych.

W miarę, jak radjo wrastać pocznie w życie Polski, wyłoni się cały szereg doniosłych zagadnień społecznych, oświatowych, technicznych i gospodarczych, wymagających świadomego stanowiska ze strony opinji publicznej. Od chwili otwarcia pierwszej stacji dzielą nas już tylko dni— musimy jednak skonstatować, że na łamach prasy nie widać dotąd akcji, którąby zawczasu i w należytym stopniu była opinji publicznej pomocna.

Czas pomyśleć o zapełnieniu tej luki w prasie warszawskiej—leży to przecież w interesie samej prasy.

520—3—1 *M. Ż-ska*

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski“, sp. z o. o., Warszawa, Chmielna 27. Telefon 27-15.